

# KAMENIA

LUBLIN

31.1.1962

Nr 2 (240)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

## DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

### INTERVIEW

WACŁAW BABINICZ

**I**NTERVIEW, proszę pana o interwiew. — Tak właśnie powiedział. Nie wywiad, nie rozmowę. Był wyszukanie ubrany pachniał wodą kolońską i fiksatuarem. W ogóle był pretensjonalny w sposobie bycia. Twarz tylko miał nijaką. Nie pamiętam ani koloru oczu, ani ich wyrazu. Mam przed oczami jego pochyloną głowę, długie przyłizane włosy i szybko posuwający się po papierze długopis.

Pytania były różne: od ogólnych, społecznych, aż do najbardziej intymnych. Może dlatego właśnie sięgnąłem po Marka Twaina, by poszukać odpowiednio opowiadanie kojarzące się z tą dziwną wizytą. Nie, u Twaina było nieco inaczej. I zresztą to był Twain.

Ale interwiew nie ukazało się nigdy. Przynajmniej w żadnym prenumerowanym piśmie. Może miał takie hobby? Przeprowadzać wywiady z różnymi ludźmi dla własnej przyjemności. Con amore.

Ja jednak pamiętam z rzadką dokładnością każde pytanie, każdą odpowiedź. Pozwólcie więc, że je odtworzę, to interwiew. Nazwiska mego gościa nie pamiętam. Wydaje się, że... ale niech to będzie kryptonim: Zet.

**Zet:** Jakie jest pańskie zdanie o uniwersytetach ludowych?

**Ja:** To bardzo pozytywne placówki. Pozyteczne i potrzebne.

**Zet:** I ja tak sądzę.

**Ja:** Cieszy mnie nasza zgodność poglądów.

**Zet:** Jest jednak pewne ale.

**Ja:** Ma pan na myśli różne tradycje. Odstąpiliśmy dawno od tradycyjnych treści i form. Przed nami zrobili to jeszcze wcześniej Duńczycy. W Szwecji kursy w uniwersytetach ludowych są roczne, dwu- i trzyletnie.

**Zet:** Nie, nie to miałem na myśli. Niektórzy rzecznicy opinii publicznej, którą i ja w pewnym sensie reprezentuję (rozmówca mój zastukał znacząco długopisem) — otóż opinia publiczna, drogi panie, jest zdania, że, jak to się mówi, nie oplaci się skórka za wyprawkę.

**Ja:** Nie rozumiem.

**Zet:** Koszt utrzymania jednego wychowanka uniwersytetu ludowego nie jest stosunkowo niski. A nikt nie wie, co się właściwie z tymi ludźmi dzieje. Wybacz mi pan moją szczerość.

**Ja:** Każda placówka prowadzi książkę adresową, posiada wszystkie dane o swoich absolwentach.

**Zet:** (zamyśla się głęboko) — Kto wie — cedi z wolna — czy coś z tych książek adresowych nie przecieka do opinii publicznej.

**Ja:** I stąd ten niepokój?

**Zet:** (rozkłada ręce i kiwa kilkakrotnie głową w smutnym milczeniu).

**Ja:** Pan chce zajrzeć do naszej książki adresowej?

**Zet:** (podnosi obie ręce w ruchu obronnym, wzdraga się). Po chwili: — Oczywiście ludzie ci gdzieś są, żyją, może nawet pracują. Ale czy

wszyscy są związani z ziemią, że tak powiem, rodzicielką?

**Ja:** Nie wszyscy. W 1961 roku odbyły się zjazdy wychowanków wszystkich UL. Organizatorem zjazdów był Związek Młodzieży Wiejskiej, który słusznie chce widzieć absolwentów w swoich szeregach jako aktywnych działaczy. Otóż wie pan, jakie pytanie padało na wszystkich zjazdach? „Czy absolwent UL musi być przypisany do ziemi? Czy nie wolno mu jej porzucić?”

**Zet:** Hm. Właściwie mówiąc, uniwersytety ludowe powinny kształcić tylko tych ludzi, którzy pozostają na wsi. I dlatego opinia publiczna domaga się, aby pozostawali oni w rodzinnych wioskach.

**Ja:** No, w życiu bywa różnie. Czy konieczne w rodzinnych? A jeśli absolwentka UL wyjdzie za mąż za kolegę zgoła z innego powiatu? A jeśli wychowanek UL zostanie wybrany na stanowisko przewodniczącego Zarządu Powiatowego ZMW lub innej organizacji?

**Zet:** Raczej, skromnym moim zdaniem, powinien się zrzec tego zaszczytnego stanowiska. Niech będzie przewodniczącym, owszem, ale w swojej wsi, w gromadzie. Tam jest jego miejsce.

**Ja:** Widzi pan, w naszym wieku ludzie niechętnie osiedlają się „na zawsze” w jednej miejscowości. Miodzi mają tęsknoty, pociąża ich szeroki świat. Nie wszyscy zaś mają tyle energii i inicjatywy, aby ten szeroki świat stworzyć we własnej gromadzie.

**Zet:** Trzeba ich właśnie przekonać. Po to istnieją uniwersytety ludowe.

**Ja:** Nie sądzę, że tylko w tym celu powołaliśmy do życia te placówki. Zresztą nauka w UL trwa zaledwie osiem miesięcy, niekiedy nawet siedem. Toż to technika rolnicza, w których szkolenie trwa pięć lat, nie potrafiły, jak dotychczas, wpoić w swoich wychowanków przekonania, że powinny pracować w swoich wsiach.

**Zet:** Zostawmy ten temat. Wasz

(Dokończenie na str. 6)



Tadeusz Makowski — Powrót ze szkoły (V. recenzję na str. 11)

## O NAUCZYCIELACH I NAUCZANIU BEZ CUDÓW

ALINA TOMASZEWSKA

**I**M bliżej chwili, w której reforma szkolna wejdzie wreszcie w życie, tym sytuacja w szkole staje się gorętsza. Nauczyciele pouczani ze wszystkich stron, ogłuszeni setkami poleceń, zaleceń, zastrzeżeń i wreszcie gromów, które syją się na ich nieszczęsne głowy, zaczynają z lekką tracić orientację, czemu nawet trudno się dziwić. Już bo też prasa uwzięła się ostatnio na nauczycielski stan i taśmowo chyba produkuje artykuły na pedagogiczne tematy. Bardzo to chwalebny objaw, że problemy szkoły znalazły się w centrum zainteresowań społecznych. Szkoda tylko, że wiele z tych zainteresowań jest czysto werbalnych, że z rzeczowością nie mają wiele wspólnego.

Niektóre czasopisma „wyspecjalizowały” się niemal w „demaskowaniu” „okropnych, potwornych” rzeczy, które się w szkole z dziećmi wyrabia.

Tutaj „Pani” krzywym okiem spojrzęła na Piotrusia, bo nie odrobił lekcji. Mój Boże, jakie to niepedagogiczne! Do biednego dziecka tak od razu z krzywym okiem. Ale kiedy temu samemu Piotrusiowi ojciec spuścił łanie za rozdarty rękaw, to już było pedagogicznie, bo to „z ojcowskiej ręki”. W innej szkole Marysia oberwała dwóję, bo przez trzy miesiące nie można się było doprosić, żeby przyniosła zeszyt do klasówek. Tłumaczyła się ciągle: „zapomniałam”. A więc znów brak „pedagogicznego” podejścia do niewinnego dziecka i Krzywda przez największe K. „Dziecko powinno otrzymać stopień za to, co umie, a nie za to, co przynosi czy nie przynosi do szkoły”. A w ogóle to ci dzisiejsi nauczyciele to po prostu półanalfabeci. Ani tego podejścia do dzieci nie mają, ani tych wiadomości. Nie to co kiedyś, za naszych czasów...

I ja sięgnęłam wreszcie myślą do „moich” czasów, kiedy to, w ostatnich latach przed wojną, zaczynałam chodzić do szkoły. Jak to się działo, że w trzeciej, czwartej klasie moja „Pani” miała na lekcji czas zajrzeć do wszystkich zeszytów i wszystkich zapytać, i jeszcze objaśnić nam nową partię materiału? A w czasie paury bawiliśmy się grecznie w jakiegoś „Lataptaszka” czy inną „Różyczkę” bez ryku, od którego drżały szyby, i bez dzikich awantur? Jak to było? Całkiem prosto. W klasie było nas aż... 20, a na korytarzach aż... 120.

W szalejącej na lamach prasy dyskusji zabiera głos kto żywy, boć wielu uważa, że wychowywanie i nauczanie dzieci — to umiejętność wprost biologiczna, tak jak np. ich poczynanie i rodzenie. Ducha reformator-

(Dokończenie na str. 8)

# WIADOMOŚCI Z PIERWSZEJ RĘKI

ALEKSY BORNUS

Eksperymentalne ośrodki pracy kulturalno-oświatowej przy szkołach w powiecie lubartowskim stoją obecnie przed nowym, drugim z kolei sezonem pracy. W toku sezonu ubiegłego sytuacja w ośrodkach była wielokrotnie przedmiotem uwagi publicystów, dziennikarzy i władz miejscowych. Eksperyment lubartowski trwa i nie przestaje budzić zainteresowania. Wojewódzka Poradnia Pracy Kulturalno-Oświatowej organizując swego czasu krótki kurs wakacyjny dla kierowników ośrodków, zwróciła się do nich za pośrednictwem Referatu Kultury PRN w Lubartowie z małą ankietą na temat dotychczasowej działalności ośrodków i form dalszego dokształcania kierowników ognisk. W Poradni znalazło się 31 odpowiedzi na tę ankietę (na 49 ośrodków). Wypowiedzi te są interesujące, zawierają oceny pracy ośrodków z pierwszej ręki i sporo niebanalnych spostrzeżeń o środowisku a jakkolwiek dotyczą okresu minionego warto je omówić, zwłaszcza, że dotychczas nigdzie nie były wyzyskane.

Tylko w kilku zaledwie wypadkach działalność ośrodka uznano za niezadowalającą, z przyczyn zarówno środowiskowych jak i z powodu braku urządzeń i wyposażenia. Na przykład w Ludwinie młodzież interesowała się tylko „potańcówkami” w ognisku, inne formy pracy były mało popularne, ale, jak skarży się kierownik, „dużą przeszkodą w pracy był brak umebliowania, zajęcia odbywały się w małych uczniowskich ławkach. Wszyscy siedzieli w ubraniu z braku wieszaków. Telewizor nie odbierał...”

Ośrodek w Rozpluciu również nie może wykazać się większymi efektami swej działalności. Lecz Rozplucie to wieś położona na skraju powiatu, do Lubartowa 18 km, dojazd trudny, brak światła. Kino objazdowe dojeżdża tutaj raz na kilka lat (ostatnio w 1955 r. i dopiero aż w 1961 r.). Ośrodek nie posiada dostatecznego wyposażenia. Mimo tych nietypowo ciężkich warunków, kierownik ośrodka — miody nauczyciel — robi co może (zespoł teatralny przygotował „Ożenek” Gogola wystawiony dwukrotnie na wsi i raz w sąsiedztwie) i uparcie wierzy w nastanie lepszych warunków w Rozpluciu. Podobnie w Wólce Zawieprzyckiej, jak pisze kierownik, „działalność ośrodka była bardzo skromna”. Tutaj też występuje brak światła i sprzętu.

Znaczna część odpowiedzi na ankietę ocenia pracę ośrodków bardzo pozytywnie — przede wszystkim z uwagi na osiągnięcia społeczne i wychowawcze przez wprowadzenie nowych momentów do życia zbiorowego wsi. Mimo skróconego charakteru tych wypowiedzi, niektóre oceny cechuje dość szeroka motywacja. Oto jak ocenia dotychczasową działalność ośrodka kierownik z Firleja: „Największym rezultatem było wciągnięcie i zainteresowanie ludności, która początkowo była biernie ustosunkowana. Popularną formą pracy były wykłady na Uniwersytecie Powszechnym. Cieszyły się one wielkim powodzeniem, szczególnie wśród osób starszych. Młodzież pod względem zainteresowań można podzielić na dwie grupy. Jedni — uczestnicy Szkoły Przysposobienia Rolniczego, w wolnych godzinach uprawiali sport i brali udział w zajęciach świetlicowych. Inna grupa — to młodzież starsza, najbardziej zagrożona pod względem wychowawczym. Do dalszej nauki trudno ją było nakłonić, lecz i oni porzucili ulicę i do późnych godzin wieczornych przebywali w świetlicy. To była dla kierowników podstawowa trudność, gdyż świetlica była czynna przez cały tydzień włącznie z niedzielami. Praca dała jednak dobre rezultaty, bo i dziś młodzież ta w wolnych chwilach przychodzi do szkoły, a stosunek jej jest przyjazny... Na efekty wychowawcze pracy z młodzieżą zwraca również uwagę kierownik ogniska w Pałecznicy: „...początki były trudne, ponieważ staliśmy bywalcami w świetlicy byli młodzi z papierosem w rękę, ordynarni i nie grzeszący grzecznością. Kiedy znaleźli się w miejscu, gdzie uczyli i wyma-

gali kulturalnego zachowania, z dużymi trudnościami rezygnowali ze swego chuligańskiego zachowania. Teraz obserwując tych samych dawnych niekulturalnie zachowujących się zbuntowanych młodzieńców widzę twarze zupełnie odmienne. Tutaj wyraźnie widać wpływ organizowanego życia kulturalnego. Uczestnicy bardzo chętnie grają w gry towarzyskie, szczególnie dużym powodzeniem cieszą się szachy i warcaby. Sam stosunek dwóch grających do siebie uległ dużej zmianie. W początkach bardzo złośliwy w stosunku do swego przeciwnika (zwycięzcy gry), dzisiaj nawet dość koleżeński. To, że organizowaliśmy w wieczorki w połączeniu z tańcem i przyjęciem bez alkoholu w ładnie udekorowanej sali to też chyba jedno z osiągnięć ośrodka. Przed rokiem nie odczuwano potrzeby nawet udekorowania sali, w której młodzież miała spędzać wesoło i miło wolny czas. Teraz mimo ciężkich wiosennych prac sala świetlicy nie świeci pustkami, lecz dawni uczestnicy nadal odwiedzają ją, by jeśli nie pograć z powodu braku czasu, to tylko przeczytać najnowsze czasopisma”. Podobnie kierownik ośrodka z Brzeź-

W związku z III Krajowym Zjazdem Ligii Kobiet w lutym br. zamieszczamy artykuł poruszający jeden z licznych problemów, które nurtują nasze społeczeństwo. Red.

UKŁAD stosunków społeczno-ekonomicznych ostatnich lat, dynamika rozwoju Lubelszczyzny oraz ciągłe przekształcanie profilu gospodarczego z typowo rolniczego na rolniczo-przemysłowy spowodowały konieczność zwrócenia baczej uwagi na problem zatrudnienia. Problem ten stał się tym bardziej palący że równoległe z zachodzącymi przemianami notuje się wyższe demograficzne i wzrost siły roboczej, której 80 proc. w skali województwa lubelskiego stanowią kobiety. Ten fakt zmusza do zastanowienia się nad jego przyczyną i możliwościami wyjścia z pewnego rodzaju impasu.

Jedną z poważniejszych przyczyn jest stały napływ młodej kadry, która co roku zasila szeregi „wolnych rąk”, jak można określić nadwyżkę siły roboczej. W niemałej części są to dziewczęta bez konkretnego zawodu, po ukończeniu szkoły podstawowej, a nawet średniej ogólnokształcącej — które z różnych powodów nie uzyskały fachu. Nie bez wpływu także pozostało rzucone przed kilku laty hasło „Irena do domu”. „Irena” odeszła od warsztatu pracy, ale z biegiem czasu okazało się, że przy wyłączności zarobkowania męża budżet rodziny jest mocno zachwiany i pomoc finansowa staje się koniecznością. To sztandarowe hasło pociągnęło za sobą jeszcze dalej idące skutki. Kierownicy poszczególnych zakładów pracy, przejęci sloganem, wybrali się od zatrudniania kobiet. Nic dziwnego, że w stworzonych warunkach sprawa zatrudnienia kobiet stała się poważnym problemem. Powrót „Ireny” do warsztatu pracy jest oczywistą koniecznością, pod warunkiem jednak, by nie popaść z jednej ostateczności w drugą.

Zatrudnianie kobiet w chwili obecnej na pewno nie jest łatwą sprawą. O tym, jak kształtują się możliwości rozładowania nadwyżki siły roboczej kobiet, rozmawiamy z kierownikiem Wydziału Zatrudnienia PWRN w Lublinie, Edwardem Janiukiem.

Budowa i rozbudowa całego szeregu obiektów przemysłowych na terenie naszego województwa pozwoli w poważnym stopniu zatrudnić w ciągu pięćdziesiątki lat dość znaczny procent ludzi, w tym także i kobiety. Na podstawie analizy potrzeb związanych z tymi inwestycjami możemy stwierdzić, że absolutnie nie zagraża nam bezrobocie. Wręcz przeciwnie. Ciągłe będzie potrzebą rąk do pracy. Budowa Fabryki Azotów w Puławach, czy choćby Eukowskie Zakłady Przetwórstwa Mięsnego i Chłodniczego, nie mówiąc o wielu innych, pozwolą nam nie tylko zatrudnić lokalnie nadwyżki, ale zmuszą do poszukiwania ludzi do pra-

ciły Książęcej informuje, że najaktywniej w ognisku pracuje młodzież, natomiast starsze społeczeństwo ognisko odwiedza raczej rzadko.

Lecz oto kilku kierowników podkreśla też aktywność społeczeństwa dorosłego. W Przypisówce w związku z działalnością ogniska „...takie organizacje jak ZMW czy Ochotnicza Straż Pożarna ożywiły swą działalność. ZMW odbywa zebrania bez inicjatywy z zewnątrz, na których omawia różne zagadnienia dotyczące życia wiejskiego. Organizacja ta doprowadziła do porządku świetlicę znajdującą się w tutejszej wsi, tzn. zakupiła wapno i farby z własnych funduszy i pomalowała wnętrze świetlicy. Ochotnicza Straż Pożarna potrafiła w chwili obecnej pozyskać sprzęt strażacki znajdujący się u mieszkańców wsi. Odbywać regularne zbiórki strażackie, gdzie prowadzi się ćwiczenia w obsłudze sprzętu strażackiego używanego w czasie pożaru. Kobiety wiejskie nauczyły się piec różne ciasto i gotować potrawy”. O życzliwym stosunku środowiska do ogniska pisze kierownik ze Skrobowa: „Ośrodek zmobilizował w pewnym stopniu środowisko do żywszego zainteresowania się sprawami naukowymi (Uniwersytet Powszechny) oraz dzięki zajęciom świetlicowym skupił miejscowe życie towarzyskie na sali świetlicowej dając sporo godziwej rozrywki. Już dziś świetlica odczuwana jest jako swego rodzaju potrzeba kulturalna, co z przyjemnością należy podkreślić. Wynika z powyższego, że stosunek środowiska do ośrodka był dobry a słuchanie wykładów, możliwość zapytań i dyskusji zachęcała do dobrej frekwencji i należytej uwagi. Czytanie

prasy, słuchanie radia, oglądanie obrazów telewizyjnych, możliwość korzystania z gier towarzyskich wpływała na młodszych i starszych dodatnio, wyrabiając ich w pewnym sensie społecznie i kulturalnie i obniżając bezmyślne walenie się po wsi, przesiadanie w sklepach”.

Kierownicy ognisk sądzą, że ośrodki eksperymentalne spełniają pozytywną rolę przede wszystkim dla trzech powodów:

Są miejscem spotkań i życia towarzyskiego. Znaczna część wypowiedzi podkreśla dużą popularność zajęć rozrywkowo-sportowych. W niektórych wypadkach dopiero powstanie ogniska stworzyło warunki rozwoju kontaktów i współżycia wykraczającego swym zakresem poza tradycyjne stosunki sąsiedzkie.

Uniwersytety Powszechnie (jako jedna z form ogniska, zresztą nie wszędzie istniejąca) są popularne i pożyteczne. Największą frekwencją i zainteresowaniem cieszą się wykłady z medycyny, rolnictwa i prawa. Zajęcia na UP skupiają zarówno młodzież jak i starszych, co nie jest naturalnie bez znaczenia dla procesów wychowawczych. Cenne jest to, że zajęcia oświatowe prowadzą również, obok nauczycieli i wykładowców przyjezdnych, przedstawiciele innych zawodów na wsi, np. w Nowowoli pogańdki z dziedziny rolnictwa prowadzi tamtejszy agronom.

Ogniska organizowały kursy praktyczne (często wspólnie z organizacjami społecznymi), kroju i szycia, gotowania i pieczenia, motorowe, szkoły zdrowia.

(Dokończenie na str. 10)

## Powrót „Ireny”

cy wśród ludności powiatów, w których nie ma większych obiektów przemysłowych. Budowa tych wielkich zakładów pociągnęła za sobą konieczność inwestycji towarzyszących, takich jak na przykład urządzenia komunalne, w których przeciw zostaną zatrudnione i kobiety. Społeczna komisja, w skład której weszli przedstawiciele poszczególnych partii, LK i nasi pracownicy, dokonała rewizji zatrudnienia w zakładach pracy pod kątem możliwości obsadzenia stanowisk przez kobiety. W wyniku tej rewizji do listopada ubiegłego roku uzyskaliśmy 1955 stanowisk dla kobiet przekazując mężczyzn do innych zawodów. Oczywiście wyjątek stanowią mężczyźni o specjalistycznych zawodach, jak lekarze itp. Wygospodarowane tym sposobem etaty zostały zawarowane wyłącznie dla kobiet.

Jak przedstawia się problem zatrudnienia kobiet niekwalifikowanych, a szczególnie na terenie małych miasteczek i osiedli?

W tych przypadkach z pomocą przychodzi nam fundusz interwencyjny. Przede wszystkim dla kobiet bez kwalifikacji organizujemy szkolenie. Przy tym konieczna jest pewna selekcja, gdyż muszą to być jednostki dostatecznie zdolne, w określonym wieku i istotnie jedyne żywicielki rodzin. Drugi rodzaj szkolenia — to kursy dla kobiet, które znajdują zatrudnienie chałupnicze. Po zdobyciu tej drogi kwalifikacji kobiety mogą wydatnie poprawić budżet rodzinny. W Gołębiu, na przykład, w chwili obecnej prowadzimy kursy wikliniarski. Zamierzamy także zorganizować wkrótce kurs słomkarski, kilka krawieckich, parasolniczy, wyrobów z tworzyw sztucznych i inne. Chałupniczki mogą zarobić około 1400 zł miesięcznie pracując w wolnych chwilach w domu. Ponadto w wielu miejscowościach — Bończa, Annopol czy Wola Uhruska — prowadzimy 3-miesięczne kursy, można je określić jako kursy przyuczające zawodów, takich jak fryzjerstwo, pralnictwo, malarstwo ścienne, szklarstwo czy plisowanie. Fundusz interwencyjny pozwala nam także na zatrudnienie kobiet, które bądź z powodu wieku, bądź też innych przyczyn nie mogą uzyskać zawodu. Miasteczka i osiedla wymagają troski o utrzymanie zieleńców. Tam znajdują te kobiety pracę. Ostatnio zastanawialiśmy się nad możliwością

zorganizowania dla około 100 kobiet kursu kierowców samochodów osobowych. Można by wkrótce powierzyć częściowo tym kobietom funkcje kierowców taksówek w Lublinie, Chełmie, Zamocisku, Puławach i w Białej Podlaskiej.

Omówione zamierzenia dotyczą przede wszystkim rozładowania nadwyżki siły roboczej zgodnie z aktualnymi możliwościami i potrzebami najbliższej przyszłości. Ale to nie rozwiązuje problemu na dalszy dystans, ponieważ dane demograficzne wykazują tendencję wywołaną jeszcze w ciągu najbliższych lat.

I o tym także myślimy. Zachodzi w tym przypadku konieczność zmiany kierunków nauczania w niektórych szkołach zawodowych. Dla przykładu podam, że liczne szkoły odzieżowe co roku wypuszczają absolwentów, którzy nie zawsze mogą uzyskać zatrudnienie na terenie swojego powiatu. A przecież można by, biorąc pod uwagę potrzeby lokalne, w szkole takiej zmienić kierunek. W Lukowskich Zakładach Obuwniczych ciągle brak kamaszników. Można by pomyśleć o zorganizowaniu tam zawodowej szkoły dla przyszłych cholewkarzy. Podobnie przedstawia się sytuacja i w innych zawodach. Ponadto ważną sprawą jest zmniejszenie liczby szkół ogólnokształcących na rzecz szkół typu zawodowego. Z myślą o przyszłym zatrudnieniu kobiet już teraz zapytujemy dyrekcje szkół zawodowych o ilość miejsc dla dziewcząt. Dyrekcje jednak niechętnie udzielają odpowiedzi. W każdym razie na najbliższą przyszłość przewidujemy zdobywanie zawodu przez kobiety od wieku dziewięcioletniego, ale na dużo większą skalę aniżeli dotychczas.

Powrót „Ireny” do warsztatu pracy nabiera wreszcie realnych kształtów. Jedno jest jeszcze bardzo ważne: liczne i dość głęboko tkwiące opory wśród kierowników zakładów pracy. Opory te jednak można przełamać, jeżeli stanowisko terenowych wydziałów zatrudnienia będzie stanowiskiem zdecydowanym i jeżeli wydziały te będą pracować na podstawie wnikliwej oceny możliwości i potrzeb lokalnych. Niezbędna jest tu także koordynacja działalności między wydziałami a zakładami pracy. I jeszcze jedno: kobiecie trzeba zaufać, a wtedy na pewno będzie można powiedzieć tak, jak mówi dyrekcja FSC, która dokonała zmian przy spawaniu i sunicach, że kobiety pracę swą wykonują o wiele dokładniej niż mężczyźni.

Z kierownikiem Wydziału Zatrudnienia PWRN w Lublinie Edwardem Janiukiem rozmawiała Zofia Alicja Dmowska

W SWOICH zapiskach z ławy szkolnej, które od czasu do czasu ze wzruszeniem biorę do ręki, przenosząc się z berlecczowskim uśmiechem w pełne pozornie bez troski czasy, odnajduję pod datą 1 listopada 1932 roku te słowa:

„Wczoraj (a więc 31 października 1932 r.), po wieczorze autorskim poetów tworzących na Ziemi Lubelskiej, poznałem tego poetę — Józefa Czechowicza.

Wieczór, w którym brał jeszcze udział Konrad Bielski i mój profesor Kazimierz Andrzej Jaworski, był pierwszą tego rodzaju imprezą na terenie Chełma i myślę, że powinien być ostatnią. To skandal, żeby na 30 tys. mieszkańców w niewielkiej przecież sali Reursy Miejskiej zgromadziło się kilkunastu uczniów Seminarium Nauczycielskiego, nota bene członków Koła Literackiego, oraz parę osób z inteligencji.

W kraju o wielkiej tradycji poetyckiej, dla poezji współczesnej brak zainteresowania zupełny.

I dziwię się, że jest tak, jak jest. Smród, nędza, alkohol. Dobrze nam tak. A swoją drogą wieczór był pełen nastroju. Wiersze, które czytał Czechowicz, pochodziły z „Kamienia” i „Dnia jak codzień”. W interpretacji poety wypadły słabo na ogół, choć ucho czuło, że to jest piękne naprawdę.”

Tyle w zapiskach na dwa lata przed maturą. Dziś wspomnienia tamtych dni przysypała się kurzem jakiegoś czasu, oddalone o lat dziesiątki wydają się niemal snem i, jeśli zamykam je w słowa, robię to z poczuciem jakiegoś lęku, który prawdopodobnie towarzyszy każdemu piszącemu wspomnienia, lęku przed tym, iż nieporadność słowa nie potrafi oddać doświadczonego rzeczowego przeżycia, iż choćby dlatego, że zatarły się one w czasie i ostrość ich konturów złagodniała. Mniej...

Tak, ten pierwszy wieczór poetycki w małym miasteczku prowincjonalnym, jakim był powiatowy, 30-tysięczny Chełm, niewątpliwie zaważył na dalszym kształtowaniu się życia kulturalnego, które dotychczas tonęło w mrokach.

Jedynymi atrakcjami dotychczas były gościnne występy Teatru Ziemi Wołyńskiej pod dyrekcją Aleksandra Rodziewicza i „Reduty”. Spełniały one zresztą swą pionierską rolę w samopomocy godnym podziwu. Trzeba znać warunki „sceniczne” miast kresowych, aby uzmysłowić sobie koszar pracy aktora. Nic dziwnego, że każde z tych miasteczek to „zadupie” świata, jak je sami mieszkańcy określili. Nic dziwnego, że ludzie tonęli w zupełnej obojętności na wszelkie przejawy życia kulturalnego, zajęci swoim dniem powszednim, który przez 365 dni był jednakowy jak deptak lubelski od górki katedralnej do ogrodu miejskiego. Codziennie te same twarze, radości i smutki, a nade wszystko nuda, nuda, nuda.

W tej atmosferze najad poetów, choć nieznanymi nikomu, miał swój oddźwięk i poruszył umysły przede wszystkim młodzieży. Wiedzieliśmy wszyscy, że nasz polonista, prof. Kazimierz Andrzej Jaworski jest poetą, ma wydanych kilka zbiorów wierszy.

W Seminarium Nauczycielskim, do którego w tym czasie uczęszczałem było kilku młodych ludzi którzy próbowali pisać, niewątpliwie utalentowanych. Przemowny wpływ wywierał na nich znakomity polonista umiejący jak nikt inny rozbudzać w tej młodzieży jakiś balwochwalecy kult języka polskiego, rozpalić zamięłowania literackie, służyć radą, doświadczeniem, podsuwać odpowiednią lekturę ze swojej prywatnej biblioteki, stworzyć aurę, która przez długi czas po opuszczeniu szkoły towarzyszyła młodym adeptom.

Stąd przecież wyszedł Jan Szczawiej, zbierający w Warszawie pierwsze poetyckie laury. Mury tego Seminarium opuścił Wit Kasperski, autor dwóch tomików wierszy „Dębowe progi” i „Fale mojej rzeki”. (Niestety później zamilkł zupełnie).

Znakomitą szkołą poznania literatury współczesnej, która przecież nie objęta była programem nauczania, a szczególnie poezji było „Koło literackie”, któremu patronował K. A. Jaworski.

W tym czasie członkami Koła byli: Wacław Iwanicki (obecnie na emigracji w Kanadzie, ostatnio

wydał tom wierszy „Milczenie w Paryżu”. Przed wojną „Pełnia czerwca” i „Arkusze poetycki”), Wiktor Matyszcuk (obecnie dziennikarz w Warszawie), Czesław Morawski (złamał pióro), Zdzisław Popowski (obecnie w Warszawie, nie pisze, wydał „Gwiazdy w popiele” i „Pieśni uroczyste”) oraz Wacław Mrozowski.

To była ta „pochorazówka poetycka”, jak nazwał nas jeden z ówczesnych krytyków literackich.

Nam w udziale przypadł zaszczyt zajęcia się stroną organizacyjną tego wieczoru. Nareszcie zobaczymy prawdziwych poetów, usłyszymy ich głos, może nawet będzie okazja do zamienienia paru zdań.

## PIERWSZY WIECZÓR POETYCKI \*

WACŁAW MROZOWSKI

Publiczność chełmska zawiadła na całej linii. Nawet ci, którzy z reguły uczęszczali na wszelkiego rodzaju imprezy, tym razem nie przyszli. Salę Reursy Obywatelskiej zapełniła gromadka młodzieży Seminarium Męskiego i Żeńskiego. Wieczór zagał prof. K. A. Jaworski. Przedstawił poetów Konrada Bielskiego i Józefa Czechowicza. Wiersze tego ostatniego znalazłem z „Kamienia” i „Ballady z tamtej strony”. Podobały mi się. Czytał pierwszy. Jakiś onieśmielony, z grzywką zsuniętą na skronie, z nikłym uśmiechem, matowym głosem recytował „Na wsi” — piękny liryk, który wszedł już dziś na zawsze do poezji polskiej. Później „We czterech” i „Łódź podwodna”. Nie zrobił wielkiego wrażenia. Nie umiał po prostu wnikliwie interpretować. Z wierszy, które mówił Bielski, pamiętam „Ode do alkoholu”, która do dziś jeszcze robi na mnie wrażenie. Trzeba ją było słyszeć, jak „pan Konrad” dźwięcznym i pewnym głosem roztaczał przed słuchaczami uroki smakowity sam zresztą będąc pod jego wrażeniem. K. A. Jaworski mówił „Prawo łaski” — tyle pamiętam.

Przed rozpoczęciem wieczoru miałem incydent z Bielskim. Nie znalazłem go, więc nie dziwnego, że stojąc przy wejściu i sprawdzając bilety, nie chciałem wpuścić na salę faceta nieznanego i w dodatku lekko pod gazem.

Bielski nie zdradził się i systemem łagodnej perswazji starał się mnie przekonać, że on musi być, gdyż tu występują jego przyjaciele, a poza tym to on, zdaje się, nosi nazwisko jednego z autorów i chciałby zobaczyć swego imiennika.

Po zapachu dymyślimem się, że mam przyjemność rozmawiać z poetą. Nie omyliłem się.

Jakie wrażenie odnieśli z występu autorzy, nie umiem powiedzieć. My, młodzi słuchacze, czuliśmy się zażenowani, było nam po prostu wstyd, późniejsze doświadczenia z mojego życia wykazały, że z tą frekwencją nie było tak źle. Dziś jest dopiero tragedia, technicyzacja życia wyrzuciła przez okno większość, jak to pagardliwie zwa poniektórzy „rekwizytów” humanistycznych.

Po wieczorze poszedłem do Czechowicza, prosząc o podpisanie „Kamienia”, pierwszego zbiorku jego wierszy, pełnego jakichś dziwności, bo to wszystko pisane było małymi literami, bez znaków przestankowych, drukowane na papierze do pakowania.

\* Fragment tomu wspomnień pt. „Cyganeria”, który ukaże się w najbliższym czasie nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

w dużym formacie. Zapytał, czy piszę wiersze. Przyznałem się, rumieniąc. Prosił, by mu przysłał do Lublina.

W czasie krótkiej rozmowy obserwowałem mnie bacznie. Czarne oczy, trochę skośne, jarzyły się w błyskach. Mówił śpiewająco niemal. Był szczupły, mojego wzrostu. Uderzył mnie całkowity brak zarostu na twarzy, a później przy pożegnaniu, przytrzymał rękę w uścisku, jakieś dziwne...

PO KILKU dniach napisałem. Prosiłem między innymi o ostatni tomik wierszy „Dzień jak codzień”. Posłałem kilka swoich do oceny. Profesor K. A. Jaworski wydawał mi się zbyt surowy, sądziłem, że Czechowicz będzie bardziej łagodny. Zawiodłem się trochę. Zarzucił mi zbyt łatwe poddawanie się najprzeróżniejszym wpływom, i co gorsza, złych poetów. W załączeniu tomik o który prosiłem, ze słowami „ucz się na nim, Wacławie poezji”.

Nawiazana korespondencja przetrwała dwa lata do czasu wyjazdu mego do Warszawy w roku 1934. Ale do tego czasu jeszcze daleko.

Czechowicz lubił korespondować. Odpisywał od ręki. Listy jego to nie zdawkowe odpowiedzi, jakie są częstym udziałem ludzi znanych i uznanych w stosunku do początkujących. Czytając je odnosiłem wrażenie rozmowy z poetą. Pełne były ciekawych i trafnych ocen współczesnej poezji, poetów. To wszystko, czym żyłem dotychczas w swoim świecie poetyckim, zostało zburzone. Czechowicz zmusił mnie do całkowitego zrewidowania moich dotychczasowych kryteriów i upodobań. Nie przyszło to łatwo.

Nie zapominajmy, że byłem wychowany na „Młodej Polsce” i przez długi czas Staff był moim ideałem. Skamandryci, szczególnie Lechoń i Tuwim byli poetami, których wszystkie niemal wiersze umiały się na pamięć. „Kwadryga” była czymś bardzo nowoczesnym w swej problematyce społecznej, awangarda krakowska zaś okryta jeszcze wielką tajemnicą.

Terminowałem więc, czego wcale nie ukrywam, na Czechowicza, na jego urzekającej poezji, która była dla mnie burzą rzeźwego powietrza odurzającego do nieprzytomności. Ona to sprawiła, że droga młodziutkiego poety, zabłąkanego w okresie najrozmaitszych nurtów, została wytyczona, choć z niemałymi oporami, ale wydaje mi się — prawidłowo.

Bo też urok tej poezji był niezwykły, a polegał na ciągłym odkrywaniu coraz to nowych piękności, które uchodziły uwagi w poprzednim czytaniu, zmuszały do wizjonerstwa niemal identycznego z tym, jakie musiał mieć poeta przy pisaniu tych strof. Miłośnicy poezji Józefa Czechowicza znają te stany doskonale. No a muzyka tych wierszy! Przecież niektóre z nich to nuty Chopina przełożone na język poezji.

Wiosną 1933 r. pisze mi o propozycjach otrzymania pracy w Warszawie, w redakcji czasopism dziecięcych przy Związku Nauczycielstwa Polskiego i decyzji przeniesienia się na stałe do stolicy. Żal mu było „starych kamieni” Lublina i matki, którą ubóstwiał, a którą musiałby, na razie przynajmniej, zostawić sama.

Marzył przy tym o ściągnięciu wszystkich młodych poetów Lubelszczyzny, przeszczepieniu ich na grunt warszawski, utworzeniu czegoś w rodzaju grupy zespolonej z sobą wspólnym programem artystycznym — której wież ideowa byłaby podbudowana specyfiką i tradycjami regionu. Zaniechał później tej koncepcji pochłonięty całkowicie nurtem życia literackiego, choć częściowo to mu się udało.

Wkrótce potem otrzymuję list z Warszawy. Pod P. S. donoszę o propozycji przyjazdu w okresie wakacyjnym. Zdarzył się jednak wypadek, który przyspieszył moje widzenie z poetą. Otrzymałem zaproszenie na Zjazd Komitetu Redakcyjnego „Kuzni Młodych”, ogólnopolskiego pisma młodzieży szkół średnich w Polsce. Zjazd w maju, zwrot kosztów podróży, hotelu, utrzymania. Czyż może być lepsza okazja połączenia przyjemnego z pożytecznym?

Napisałem o tym natychmiast Czechowiczowi, wyrażając wielką radość z takiego zbiegu okoliczności.

### Listy o poezji (4)

## Co to jest poezja?

ANNA KAMIENSKA

Oby zawsze rozprawiał tak każdy, kto snuje myśli niegodne! Mnie daj, Fanie, tylko trzy króciutkie sylaby.

KALLIMACH

(Tłum. Zygmunt Kubiak)

CO to jest poezja? Nie wiem. Co gorsza, nie wstydzę się tej niewiedzy. Coraz trudniej odpowiedzieć na to pytanie. W czasach, gdy uczniowie liceów w ramach lekcji poetyki mieli za zadanie lekcyjne napisać wiersz — poezja mogła się wydawać czymś jednoznacznym. Była mowa „wiazana”, była mowa odmieniona, górnolotna, uroczysta, piękna. Nietrudno było odróżnić utwór poetycki od każdego innego rodzaju literatury. Dziś poezja straciła prawo niemal do wszystkich wyliczonych wyżej epitetów. Nie jest już mową wiazaną, bo zgubiła i zarzuciła na ogół rym, a nawet regularność

rytmu, nie jest często odmienna od języka prozy, a nawet języka potocznego, nie jest górnolotna, bo naraziłaby się na śmieszność, ani uroczysta, bo nienawidzi łatwego patosu, ani wreszcie piękna, bo pojęcie piękna w nowej sztuce tak się rozszerzyło i zmieniło, że nie już nie znaczy. A może jednak... Mówimy przecież, że coś jest piękne. Jeśli to pojęcie coś znaczy, to chyba tylko sposób oddziaływania na psychikę odbiorcy, siłę atakowania jego wrażliwości i uczucia. A to często nawet poprzez brzydotę, poprzez antypiękno, jeśli użyć tego popularnego dziś odwracania pojęć. A więc sugestywność, siła, oddziaływanie — to przecież elementy funkcjonalne każdej sztuki, nie tylko poezji. Znać więc nie wiemy, co nią jest. Nie zbliżamy się ani o krok do precyzji pojęcia.

Więc może krótkość utworu, cecha, zdawałoby się wybitnie zewnętrzna jest jakimś takim wyróżnikiem poezji. Wiadomo, że redaktorzy pism i tygodników traktują poezję na ogół jako coś, co wypełni puste okienko druku. Coś bardziej dla odpoczynku oka w gestwie czarnych szpalt, niż dla umysłu. Oczywiście zdarzają się jeszcze poematy i duże cykle poetyckie, choć rzadziej niż dawniej, gdy pisało wierszem powieści i dramaty. Krótkość utworu... W tym coś jest. A nie tyle chodzi tu o ilość miejsca na papierze, jakie zajmuje utwór poetycki, ale o samą technikę działania poezji. Poezja w przeciwień-

stwie do prozy jest sztuką maksymalnego skrótu myślowego. Sztuką odnajdywania najkrótszej drogi od słowa do wyobrażenia, od słowa do uczucia, od słowa — do myśli. Tu nie ma miejsca dla słów pustych, dla miarzi słownej, jakiej pełno i w naszej mowie i w prasie i w utworach prozaicznych.

Esencjonalność, skrótość i gęstość słowa — to cechy najistotniejsze współczesnej poezji. Nie tylko zresztą współczesnej. Pod tym względem przybliżyła się ona do sztuki inskrypcyj starożytnej będącej prototypem późniejszej liryki bardeckiej może niż poematy Homera. Hezjoda i Wergiliusza. Gdy się rymie dłużej na kamieniu, trzeba ważyć i dobierać każde słowo, bo prace w kamieniu jest trudna, kamień — oporny i ofiarowujący tylko ograniczoną przestrzeń, a czas przeznaczony dla którego napis jest przeznaczony — drogi. Napis musi być tak celny i dobitny, aby wędrowca w pośpiechu jego pieszej podróży zatrzymał i przykuł.

Również dla wędrowca naszej epoki śpieszącego przez życie, przedzierającego się przez natłok spraw, książek, wiadomości, rozrywek, technicznych udogodnień będących jednocześnie komplikacją — poezja mogłaby być tym kamieniem przy drodze, który zatrzymuje na chwilę krok, a potem przykuwa i daje okazję namysłu i zastanowienia. Teraz przez chwilę idzie on wolniej i roz-

ważniej, rozpamiętując wyryte na kamieniu słowo, czy też kilka zastanawiających słów.

Dlatego może pewien znajomy mówi, że poezja to jest coś okropnego, zmusza do zastanowienia się, do myślenia, pobudza twórcy niepokój zawsze gdzieś drzemiaczy na dnie ludzkiego serca. A czyni tak mimo to, że utrwała ją wątpliwy papier zamiast granitu.

Ten skrótości, inskrypcyjny charakter współczesnej poezji określa też w pewnym stopniu jej funkcję liryczno-refleksyjną, czy jak niektórzy to lubią uogólniać — filozoficzną. Niewątpliwie, poezja ma dziś bardzo wiele wspólnego z filozofowaniem, tylko powiedziałabym z filozofowaniem sceptyka ostatnie raczej oddającego ludzkiemu sercu, z filozofowaniem, w którym z przesłanek racjonalnych wyprowadza się wnioski oparte na uczuciu, a nawet na przeczuć, na tej iskierce wzruszenia, z której powstają rzeczy wielkie i male. Bez tego nie byłoby przecież liryki.

Aby wykrzesać tę życiodajną iskierkę, poeta współczesny nie podnosi tonu, nie używa słów poetyckich, ucieka od mówienia o wielkich sprawach wielkimi słowami. Przeciwnie, ścisza głos, używa słów potocznych, tłumaczy uczucie, często udaje, że to, co najważniejsze, nie wurusza go wcale. On wie, że współczesnego

(Dokończenie na str. 4)



# PROBLEM ROZROSTU MIAST

KAZIMIERZ BRYNSKI

Rozrost miast w dziewiętnastym i w początkach dwudziestego wieku był ogólnie biorąc, przypadkowym wynikiem dążeń obrotowych jednostek do jak największego zysku. Brak było koncepcji miasta jako jednolitego, powiązanego z sobą organizmu. Chaotyczna, dzika gospodarka doprowadziła do niebывалego zagęszczenia zabudowy i zagęszczenia ludności. Podwórka kamienne stawały się wąskimi, głębokimi studniami, zewsząd obudowanymi, zimnymi, bez słońca, z powietrzem zadymionym i zakurzonym. Gwałtownie rozrastający się przemysł lokował się tam, gdzie mu było wygodniej, gdzie było taniej, często w środku dzielnic mieszkaniowych.

Taka gospodarka, dopuszczająca spekulacyjny handel terenami, nie licząca się z podstawowymi biologicznymi warunkami życia i zdrowia człowieka, niszczyła bezkarnie zieleni, przyrodę i jej pozytywne dla człowieka walory, dewastowała siedlisko. Powszechnie w mieszkaniach, miejscach pracy i na ulicach, brakowało pełnowartościowego słońca, światła i czystego powietrza. Powstawały jałowe usypiska, doły gliniankowe, zastoiska cuchnącej wody, śmietniska. Rzeki stawały się kanałami, wypełnionymi cuchnącymi kłoczami i przemysłowymi ściekami.

Sytuacja stawała się coraz bardziej katastrofalna. Przeważająca ilość ludności takich miast została pozbawiona podstawowych warunków zdrowej egzystencji. Zaczęły się tworzyć prawdziwe dzielnice nędzy, np. osławione londyńskie slumsy lub w Polsce podmiejska miejscowość (dziś dzielnica Łodzi) Bałuty.

W czasie gdy Grudziądz i Bydgoszcz miały mieszkań 1-izbowych tylko ok. 4%, to Łódź miała mieszkań 2-izbowych 20%, zaś 1-izbowych aż 60%. Przy zagęszczeniu od 6 do 15, a nawet 20 osób na izbę. Następowala degeneracja mieszkania, domu, i miasta. Oczywiście obfite żniwo zbierała gruźlica, krzywica, pylica i inne choroby systemu oddechowego, choroby przewodu pokarmowego, zębów, serca, systemu nerwowego itd.

Lublin nie był wyjątkiem. Miasto z widel rzek Bystrzyca i Czechówki przesuwa się w swym przemysłowym rozroście w kierunku południowo-zachodnim, w kierunku górnego, o czystszej wodzie, odcinka rzeki Bystrzyca oraz ku Czerniejówce. Ten południowo-zachodni kierunek to równocześnie kierunek, skąd wieją na miasto najczęstsze wiatry. Bystrzyca staje się coraz bardziej cuchnąca, centralne dzielnice miasta mają coraz bardziej zanieczyszczone powietrze.

Przełomu myślowego w mieście dokonał dzieło Ebeneza Howarda (I wyd. w Londynie w 1898 r., II wyd. r. 1902) pt. „Miasta — ogrody jutra”.

W mieście takim człowiek staje się centralną postacią. Miasto o około 500 ha powierzchni i o kilkudziesięciotyśięcnej ludności ma wewnątrz wiele stref zieleni i otoczone jest pierścieniem ogrodów i pól uprawnych o powierzchni 2.000 ha, produkujących ściśle na potrzeby miasta. Reszta przestrzeni w promieniu do 10 km (bo dopiero w tej odległości można zakładać inne miasto) to lasy, łąki, nieużytki oraz obszary rolnicze produkujące także na potrzeby kraju.

Zbudowanie kilku takich miast udowodniło, że „miasto—ogród” rzeczywiście zapobiega wyludnianiu się wsi, łączy bowiem życie wiejskie z atrakcyjnością miasta; jednak dla dobrego spełnienia swej roli miasta nie mogą być zbyt małe.

Gigantomania w rozroście miast została całkowicie potępiona, gdyż pociąga za sobą wybitne pogorszenie się wielu istotnych warunków, więc mieszkaniowych i zdrowotnych, nieekonomiczność i podrożenie obsługi i urządzeń wodnych, kanalizacyjnych, komunikacyjnych, transportowych, wzmacnia trudności wyżywieniowe, zwłaszcza w dziedzinie zaopatrzenia ludności w świeże mleko, owoce, warzywa.

W roku 1958, na Międzynarodowym Kongresie Urbanistycznym w Moskwie stwierdzono, że optymalne warunki stwarza miasto o liczbie 80—100 tys. mieszkańców, maksymalną zaś granicą dla dużych miast wydaje się cyfra 500 tysięcy mieszkańców. Stwierdzono

PRZYPOMINAM sobie naprawdę świetne lubelskie przedstawienie „Wyzwolenia” Wyspiańskiego. Zespół był przecież zupełnie dobry — Wroński, Łodziński, Szafranski, Roslan i wielu jeszcze innych, kobiety też nie ustępowały mężczyznom. Brakowało tylko kogoś kto by w tych ludzi, ciężko pracujących, a zarabiających grosze wyplacane niepunktualnie, techał iskry entuzjazmu i zapalu. Grodnicki sam nie umiał zresztą już mu nie wierzyć, ale za to znalazł takiego, co prawda tylko do tego jednego spektaklu. Zaangażował mianowicie w charakterze reżysera prof. Mieczysława Limanowskiego z Reduty.

Byłem zaproszony na obiad powitalny, który Grodnicki urządził w gabinecie restauracji Europa. Podczas tego obiadu mówiło się tylko o sztuce i to przez wielkie „S”, a specjalnie o Wyspiańskim i „Wyzwoleniu”. Właściwie to myśmy tylko słuchali, a mówił Limanowski. Przymyślałem, że na mnie wtedy zrobił on raczej ujemne wrażenie. Jego ton górnolotny, patos i dość mętne wywody, zaprawione jakimś specjalnym mistycyzmem — były nie w moim guście. Toteż dość sceptycznie zapatrywałem się na ewentualne wyniki jego pracy.

Ale już w czasie pierwszych prób przekonałem się, że absolutnie nie miałem racji. Limanowski swym og-

# I znowu Grodnicki

KONRAD BIELSKI

niem wewnętrznym potrafił wszystkich zarazić i porwać. Zespół aktorów, składający się, jak już zaznaczyłem, z tegich fachowców, przejął od niego zapal i entuzjazm i dał z siebie wszystko. W ogóle te próby przypominały raczej jakiś seans spirytystyczny, gdzie reżyser — hipnotyzer czarował obecnych, a wszyscy byli pod jego sugestyjnym wpływem.

Rezultat tej pracy przeszedł wszelkie oczekiwania. Spektakl był na poziomie wybitnie wysokim. Prasa, która jednomyślnie, i nawet w tonie entuzjastycznym, chwaliła przedstawienie, jednocześnie nie mogła się nadziwić, co to się stało, że teatr, który był bliski stanu kompletnego marazmu, stał na taki zryw. Uznano, że w teatrze lubelskim zdarzył się cud. A sprawca tego cudu wyjechał i znow wszystko zostało po dawnemu.

W ogóle trzeba powiedzieć, że ta druga kadencja rządów w teatrze Grodnickiego była znacznie gorsza, niż pierwsze pięciolecie. Takich przedstawień jak „Wyzwolenie” nie ogląda-

liśmy więcej. Jak sobie dziś przypominam kilkadziesiąt premier, które w tym czasie się odbyły, to nie pozostała mi w pamięci żadna, którą by można zaliczyć do wybitnych osiągnięć artystycznych. Niektóre spektakle były poprawne, na poziomie — ale to już wszystko.

Czy wine za to ponosił wyłącznie dyrektor? Jego rola też bywała bardzo trudna. Byłem przecież wtedy z teatrem bardzo blisko i poznałem wszelkie tajniki polityki teatralnej. Ileż tu różnych wpływów ubocznych działało, nie mających nic wspólnego ze stroną artystyczną.

Często Grodnicki, skoro już się przekonał, że lepiej sprawę postawił szczerze, zwracał się do mnie z taką oracją: „Wystawiam tę sztukę, bo główną rolę chce zagrać p. X, przyjaciółka pana, od którego zależy udzielenie mi dodatkowej subwencji”.

Był w Województwie pewien dygnitarz dużego kalibru, miał przyjaźniłą aktorkę. Polecono Grodnickiemu ją zaangażować, a była to osoba przystojna, lecz o minimalnym talencie. Grodnicki wściekał się, ale nie mógł odmówić, została więc zaangażowana, każdego pierwszego otrzymywała garze przysylaną w kopercie do domu, ale nie obsadzano jej wcale. Grodnicki po kieliszku zwykły był mawiać: „Stać mi jeszcze na opłacanie kochanki pana W.” Tak było przez dłuższy okres czasu, wreszcie pewnego dnia zwierza się: „Muszę ją obsadzić, bo w przeciwnym razie nie dostane Krynicy na lato (teatr lubelski wyjeżdżał czasami gościnnie w letnim sezonie do Krynicy, co było połączone ze znaczną korzyścią materialną) — wybrałem już dla niej sztukę, niech zagra panią Walewską”. Była taka przeróbka sceniczna znanej powieści Gąsiorowskiego. No i zagrała. Spektakl był nudny i nieciekawym, szło to chyba ze 2—3 razy. Główna bohaterka wyróżniała się tylko stylowymi sukienkami o niebывале głębokim wycięciu. Gralewski napisał złośliwie w recenzji, że pani Walewska przypomniała Rejtana. Odtwórczyni roli bynajmniej się nie obraziła, recenzję wycięła, schowała na pamiętkę, a w rozmowach z koleżankami chwaliła się: „A jednak porównał mnie do historycznej postaci”. — A Grodnicki dostał Krynicę i poprawił chwilowo swe finanse.

Takich historyjek mógłbym przytoczyć mnóstwo.

NAJTRUDNIEJSZĄ sprawą było pozyskanie publiczności. Frekwencja w teatrze była coraz mniejsza i stale spadała. Co ten Grodnicki nie wycyzniał, by temu zaradzić. Ile wykazał inwencji i pomysłowości! Widząc, że operetka już nie idzie, wystawił w teatrze rewję, ten rodzaj widowiska był wtedy bardzo modny. Ot taka składanka. Trochę tańców, sporo piosenek i kilka skeczy. Pierwsza taka rewia pt. „Halo-hallo-Lublin szaleje” miała nawet znaczne powodzenie, ale następną już nawet nie pokryły kosztów wystawy.

Próbował i sensacji. Była taka budka kryminalno-detektywistyczna pt. „Proces Mary Dugan”. Premiera była połączona z plebiscytem, rozdano wśród publiczności kartki, na których trzeba było odpowiedzieć na pytanie: kto zabił. Rozdawano te kartki w antrakcie. Były przewidziane nagrody za trafne wypowiedzi. No ale skoro no premierze ci, co byli, opowiedzieli innym, kto zabił, nie było już ciekawych i chętnych oglądania sztuki.

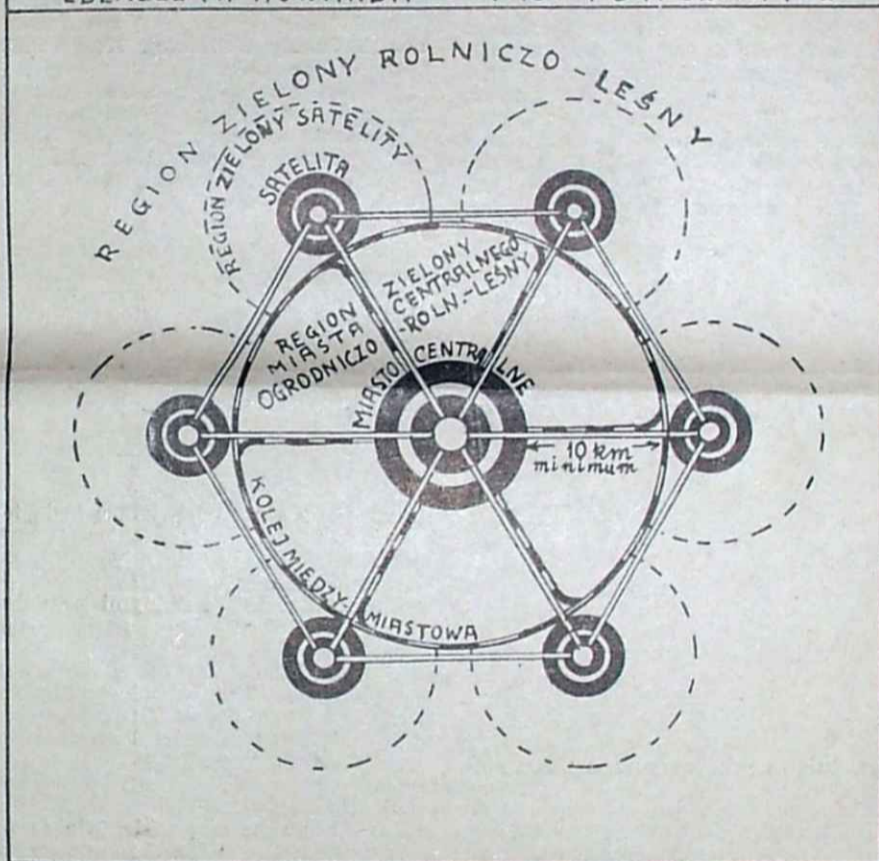
Do „Dybuka” (zupełnie dobre przedstawienie) zaangażował kantora miejscowej synagogi, aby wykonał autentyczne pienia religijne, a dla propagandy sztuki pozyskał radnych żydowskich i co znaczących kupców.

Znow w okresie przedwiekanocnym wielkie afisze zapowiedziały w teatrze widowisko pasyjne pt. „Golgota”. Duchowieństwo katolickie odniosło się do tej imprezy z całą zyczliwością, uprzednio utwierdziwszy się, że wszystko odbywa się tak, jak należy.

Oczywiście w przerwach między realizacjami tych pomysłów były wystawiane sztuki, że tak powiem, normalne, a więc „Horsztyski” i „Maria Stuart” Słowackiego, Szanławski, Zeromski — ba, nawet „Hamlet”, ale o

(Dokończenie na str. 6)

## SATELITARNY TYP ROZROSTU MIAST SCHEMAT OPRACOWANY NA PODSTAWIE DIAGRAMU EBENEZERA HOWARDA » MIASTA SATELITARNE «



też, że w niektórych krajach (m. in. we Francji) już się stosuje tę zasadę: że normalne jeszcze warunki życia i pracy stwarza miasto o 250 tys. mieszkańców i że na tej granicy powinny miasta zatrzymać swój rozrost.

Dalsza rozbudowa miasta winna następować przez przeskoki poza otaczający miasto pierścień zieleni, kilkanaście km szeroki, który ma pozostawać „zielony”, dla zapewnienia miastu bazy żywnościowej i przyrodniczej strefy zdrowotnej (ogrody, pola orne, łąki, lasy itd.).

Na zewnętrznym obwodzie tego pierścienia zieleni winny powstawać miasta-satelity (miasta mniejsze, najwyższe do 100 tys. mieszkańców), które realizowałyby zadania miasta centralnego, nie mieszczące się już w jego możliwościach.

Odległość miast-satelitów od siebie — minimum 10 km.

Cały już świat kulturalny (nie tylko socjalistyczny, ale i kapitalistyczny) doszedł w sprawie rozbudowy miast do następujących stwierdzeń:

1. Zasadniczym celem jest człowiek, a nie technika.
  2. Należy bezwzględnie zachować pozytywne dla zdrowia człowieka przyrodnicze walory krajobrazu.
  3. Należy rozbudować te pozytywne walory środowiska do skali istotnie zabezpieczającej zdrową rozbudowę miasta i zdrowy rozwój społeczeństwa w nim żyjącego.
- W budowie miasta działa wiele czynników: czynniki warunków przyrod-

niczych, czynniki gospodarczy i społeczny, obronności, komunikacji, obyczajowo-prawny i kompozycji urbanistycznej.

Warunki przyrodnicze są podstawą, do której miasta dostosować się inne czynniki w tworzeniu miasta. Wybitnie więc ważne są stosunki geograficzne, topograficzne, geologiczne, hydrograficzne, klimatyczne (zwłaszcza klimatu lokalnego w promieniu do 10 km), występowanie przyrodyżywionej (lasy, sady, ogrody, nawet mniejsze pąty drzew itp.), a także wartości estetyczne krajobrazu miasta.

Wszystkie czynniki muszą być uwzględnione i ściśle z sobą szarmonizowane. Dostosować się do nich musi podział na strefy: 1) mieszkalne, 2) mieszkalno-produkcyjne, 3) produkcyjne, 4) wielkiego przemysłu, 5) przemysłu szkodliwego dla otoczenia.

Przy komunikacji należy wyraźnie rozróżnić ruch dotyczący miasta, a więc miejscowy, śródmiejski i pozamiejski, łączący miasto z okolicą — od ruchu tranzytowego przez to miasto. Ruch tranzytowy nie powinien w ogóle wkraczać w obręb miasta, ale omijać je w takiej odległości, by nie zakłócał życia miasta.

Sprawa węzłów komunikacyjnych (drogowych, kolejowych itd.) to dziedzina ważna, ale niestety ciągle jeszcze rozwiązywana nieraz lekkomyślnie, a czasem świadomie szkodliwie, bez zabezpieczenia podstawowych biologicznych warunków życia i zdrowia człowieka.

# I znowu Grodnicki

(Dokończenie ze str. 5)

nim wolę nie pisać, gdyż nie chce przemilemu człowiekowi prof. Stanisławowi Dąbrowskiemu, żywej encyklopedii historii teatru w Polsce — wypcinać jego grzechu młodości.

Ten jednak swolasty eklektyzm, a raczej przetrwanie się z jednej ostateczności w drugą, nie dał pozytywnych rezultatów. Teatr coraz bardziej zdążył do nieuniknionej katastrofy. Wszystkemu zaczęło się układać jak najgorzej.

Grodnicki na prawo i na lewo szukał pożyczek i naciągał kogo mógł. Warto tu przypomnieć postać Tadeusza Wajsberga, właściciela majątku Kalinówka (stad zwanego dziedzicem) oraz kilku starych domów w Lublinie. Była to osoba niezwykle popularna, bohater licznych anegdotów i wszystkich lubelskich szopek, lecz i sam człowiek bardzo dowcipny i z wielkim poczuciem humoru. Był on stałym bywalcem nocnych lokali i lubił się pokazywać w towarzystwie przystojnych aktorów, może dla kontrastu, gdyż był bardzo brzydki. Chodziła fama o wielkim jego bogactwie, choć na zewnątrz był nader powściągliwy. On to wymyślił szampana „à la Wajsberg” i kawę od swego imienia — była to butelka wody sodowej zamrożona w pięknym szampańskim kubku i kawa raz zaparzona a przelana, po wypiciu po raz wtóry wrznięciem w maszynce. Pomimo usilnych zabiegów nie udało się Grodnickiemu naciągnąć go na pożyczkę, natomiast obiecywał mu, że go nie pominię w swym testamentie. I o dziwo, Grodnicki w to wierzył, i trochę na to liczył. Ale stary filut nie wybierał się na tamten świat, a wszystkie skargi swego przyjaciela zbywał dowcipem lub filozoficzną sentencją.

A na Ratuszu władze municypalne zaczęły się rozkładać. W PPS nastąpił rozłam. Duża grupa z prezydentem Pączkiem przeszła do sanacji, tworząc tzw. frakcję rewolucyjną. W ten sposób i teatr odczuł to dotkliwie, bo w ogólnym rozgardiaszu nie było komu myśleć o sprawach teatralnych. W końcu rada miejska znów została rozwiązana i nastąpiły rządy komisaryczne. W ten sposób zakończyła żywot i nasza komisja teatralna.

W końcu Grodnicki przestał płacić, nie tylko swym bardzo licznym wierzycielom, ale co gorsza — tantem autorom i gaży aktorom. Co dzień po spektaklu przed drzwiami, gdzie urzędowała pani Zofia Rucińska, dyrektor administracyjny teatru i główny księgowy w jednej osobie, ustawiała się kolejka aktorów i aktorek po tak zwane a conto, które było wypłacane w wysokości od 2—10 zł. Z tą sumą nie wiadomo było co robić. Skończyły się piękne czasy Wiktorii i Europy. Do dyspozycji został tylko „Piróg” — skromna knajpka na ul. Kościuszki, prowadzona przez Pirożyńskiego, ojca słynnego księdza, popularizowanego przez Boysa, albo trzeciorderny bar „Pod 5” przy ul. Kapucyńskiej. Panował tu humor, ale już zupełnie wiślelcy.

Krażyły takie wieści, że Julia Grodnicka zabiera codziennie już po zamknięciu kasy Iwią część dziennego utargu i dlatego tak mało zostaje do wypłaty aktorom. Nikt jej jednak in flagranti nie mógł przyłapać, a kasjerka Dąbrowska była dyskretna i milczała jak grób.

Wszystko to obserwowałem bezpośrednio, już nie z tytułu przynależności do komisji teatralnej, lecz z pobudek czysto osobistych. W zespole lubelskim znajdowała się wtedy osoba bardzo mi bliska, która później została moją żoną. Z „Reduty” Osterwy trafiła do Grodnickiego i to na takie czasy.

Wreszcie uderzył decydujący cios. Gralewski napisał drugoczący artykuł w Ekspresie pod tytułem „Gdzie się podziały pieniądze”. Wyliczał na podstawie posiadanych dokumentów i własnych obserwacji, że wpływy uzyskane w tym sezonie ze sprzedaży biletów powinny starczyć na pokrycie wszelkich zobowiązań. A przecież dochodziły jeszcze dotacje i liczne pożyczki. Z tego wynikało, że bankructwo Grodnickiego jest złośliwe, pieniądze ma, a nie chce płacić.

Powstała wielka burza. Do teatru wkroczył prokurator, a cała armia sekwestраторów i komorników przypuściła koncentryczny atak. Jednocześnie wniesiono wiele pozwów cy-

(Dokończenie ze str. 1)

uniwersytet ludowy ma nachylenie kulturalno-oświatowe. Otóż, czy wszyscy wasi wychowankowie pracują na polu kulturalnym?

Ja: Nie wszyscy. Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić tak sumiennej selekcji, która gwarantowałaby pożądane rezultaty. Selekcja w ogóle jest trudna. Stawiamy wymagania: ukończony osiemnasty rok życia, siedem klas (przynajmniej) i pewien dorobek na polu pracy społecznej. Często zgłaszają się mężczyźni po odbyciu służby wojskowej, z ukończoną szkołą średnią. Wśród tych jest wielu wartościowych. Ale są i tacy, którzy nie ukończyli nawet siedmiu klas. Niekiedy musimy i takich przyjąć. Oczywiście uczymy ich dodatkowo, by przed opuszczeniem UL mogli złożyć egzamin eksternistyczny przed właściwą komisją. Ci również należą do bardzo wartościowych ludzi.

Zet: Mówi się, że zbyt dużo waszych wychowanków poszło na studia wyższe.

Ja: Czy to zarzut? Około 20 procent wszystkich naszych absolwentów albo studiuje, albo ukończyło studia. Czy możemy im zamykać w naszym kraju drogę do nauki? Byli to ludzie wyjątkowo zdolni, szeroko patrzący na świat. Pomogliśmy im zdobyć matury. Otrzymaliśmy od dziekanów kilku uczelni podziękowania za sumienne przygotowanie do studiów, za postawę „naszych studentów”.

Zet: Czy wracają na wieś?

Ja: W każdym razie pracują w instytucjach związanych ze wsią, jak i inni. Pan, o ile się nie myli, również pracuje w dziale wiejskim?

Zet: (pomija milczeniem to pytanie). Wróćmy jednak do większości wychowanków UL.

Ja: Służę Adam Bajon w znanym już dziś szeroko Rzecznictwie, pracuje wydawnictwo społeczne i właśnie na polu kulturalnym. Franciszek Gątkiewicz, który zaoferował ukończył studia i pracuje w szkole ogrodniczej, albo tacy działacze kół ZMW, jak Wiśniewski, Rogala, Maniara, Ziętkiewicz, duża grupa z opatowskiego i innych powiatów.

Zet: Pan tak według tej książki adresowej?

Ja: A według niej właśnie. Teraz wyliczę panu takich wychowanków, którzy pracują w GS, w sklepach, w GRN, w kółkach rolniczych.

Zet: (przeciągłe). W sklepach?

Ja: Czy mamy prawo przeszkadzać człowiekowi w objęciu pracy, którą umiłował? Znam kilkanaście naszych wychowanków, które są sklepowymi w wiejskich sklepach. Nigdy nie mają manka, umieją współpracować z ludźmi, sklep pod ich kierownictwem stał się miejscem spotkań towarzyskich. Zresztą biorą one aktywny udział w pracy społecznej. Znany jest ze swojej ruchliwości np. kolega Włódek, wiceprezes GS w Sędziszowie, który, jak słyszę, cieszy się szacunkiem, jest w powiatowych władzach ZSL itd. Albo kolega Treter, instruktor powiatowy ZSL. Zresztą nierzadko partie polityczne powołują wychowanków uniwersytetów ludowych do pracy w aparacie partyjnym. Przy sposobności uwaga: wszystko, co powiedziałem, nie dotyczy bynajmniej jednego tylko UL, lecz wszystkich istniejących dziewięciu placówek.

Zet: A propos. Czy mógłby pan podzielić się wrażeniami z odbytych wojewódzkich konferencji absolwentów UL?

Ja: Nie byłem na wszystkich. Doszły mnie jednak echa z różnych stron. Konferencje były ciekawe. Zgłoszono wiele postulatów. Między innymi, aby

wilnych i spraw karnych o nieplacenie honorariów autorskich.

Aktorzy zorganizowali działówkę, aby w ten sposób zarobić na życie i dociągnąć do końca sezonu. Później władze miejskie powierzyły kierownictwo teatru Henrykowi Barwińskiemu, ale i ten rozejrzawszy się w sytuacji nie chciał zostać dłużej.

Grodnicki załamał i przez kilka dni nie pokazywał się wcale. Później przysłał do mnie list z prośbą, bym go odwiedził. Poszedłem więc na IV piętro, gdzie dyrektor przyjął mnie upozowany na Napoleona pod Waterloo. Wszystkie meble i rzeczy były opieczkowane. Na stole leżały całe stosy pozwów i wezwań urzędowych. Julia poplakała krzając się jednak rażno koło kuchni i przyrzadzała jakąś pokręplającą strawę. Na stole stała butelka czystej. Niewątpliwie Grodnicki zagrał też swoją ostatnią rolę znakomicie. Gdybym go tak dobrze nie znał, sam bym poplakał nad jego losem. A jednak uwiódł mnie i podjąłem się obrony wszystkich jego spraw (byłem wten-

przy zarządach wojewódzkich i powiatowych powołać komisje byłych wychowanków UL, aby wychowankowie UL zgłaszali się do współpracy w gromadzkich komisjach rad narodowych, aby zmodyfikować programy i przedłużyć okres nauki w UL, przekazać ośrodki na własność ZMW (ośrodki dotychczas dzierżawione). Był nawet i taki wniosek, aby zwołać zjazd absolwentów wszystkich uniwersytetów ludowych. Wszystkie te wnioski będą rozpatrzone przez właściwe organy ZMW i przekazane Radzie Uniwersytetów Ludowych do ostatecznej decyzji.

Zet: Opowiadano o trudnościach odczytania?

Ja: Jasne. Tych nigdy nie brakuje. Niektórzy wychowankowie uzalają się na pełną rezerwy postawę różnych lokalnych władz. Inni znowu pragnęliby przekształcić wieś w ciągu kilku

## INTERVIEW

tygodni. Mieczysław Wasilewski z Warszawskiego opowiadał znowu, jak to pewien gospodarz, dostrzegłszy u niego książkę Tuwima o czartach, rozpuścił po wsi pogłoskę, że chłopak jeździł na specjalne studia, aby nauczyć się sztuki czarów. Wielu opowiadało o swojej współpracy z Towarzystwem Ludoznawczym w dziedzinie zbieractwa, z TWP, a w szczególności z Towarzystwem Szkoły Świeckiej. Konferencje były jednodniowe, nie wszyscy, którzy zapisali się do glosu, zdążyli opowiedzieć o swoich doświadczeniach, sukcesach, zawodach. Początek został jednak zrobiony. Aha, Domagano się też, aby przynajmniej raz na dwa lata uniwersytety ludowe zwoływały seminaria dla byłych wychowanków, przynajmniej kilkutygodniowe. Były też propozycje, aby dla absolwentów UL organizowano normalne kursy ośmiomiesięczne wyższego stopnia. Ten ostatni postulat powtarzał się dość często.

Zet: Proszę sprecyzować konkretne korzyści tych porad.

Ja: Absolwenci wszystkich UL są teraz zarejestrowani w Związku Młodzieży Wiejskiej, ściśle z tą organizacją będą współpracować, sądzę też, iż władze Związku powierzać będą im specjalne zadania w terenie. Ogniwa powiatowe będą musiały współpracować z wychowankami UL. Sądzę, że podobnie będzie i z różnymi komisjami gromadzkich rad narodowych, z kółkami rolniczymi, kółkami gospodyń wiejskich itp. Nadto liczymy na powstanie jakiegoś wspólnego frontu działania: absolwentów UL oraz uczestników różnych kursów i seminariów prowadzonych przez UL.

Zet: Czy wszystkie UL prowadzą dodatkowe szkolenie?

Ja: Absolutnie wszystkie. Nie są to jednakowe formy. Wiem, że w niektórych UL szkoła się — poza słuchaczami — pracownicy PGR, działacze kółek rolniczych, aktywni rad narodowych, instruktorzy gotowania, zycia, żywienia etc. Uważam, że to poszukiwanie nowych form pracy jest typowe dla naszych polskich stosunków, że nie zasypiamy gruszek w popiele, staramy się poszerzyć drogę wiodącą z uczelni na wieś.

czas już adwokatem), aczkolwiek nie ludziłem się, że za ten poważny trud nie otrzymam żadnej zapłaty. Miałem jednak do niego słabość.

Po tej wizycie dowiedziałem się, że Grodnicki niebawem wyjechał z Lublina już na zawsze. Ze sprawami jego miałem dużo kłopotu, ale wszystkie mi wygrałem.

Nieraz później zastanawiałem się, czy Grodnicki miał jednak pieniądze, i doszedłem do przekonania, że raczej nie. Oczywiście mogły być i pewno były jakieś kwoty, które zapobiegliwie odłożyła Julia na czarną godzinę, ale to nie były chyba wielkie sumy. Na teatrze jednak majątku nie zrobił i zdaje się, że nikt w Polsce w ten sposób nie wzbogacił się. A w dodatku tryb życia, jaki prowadził, był bardzo kosztowny. No i niewątpliwie był to jednak człowiek lekkomyślny i pelen różnych fantazji. I to jeszcze muszę mu przyznać, że czasami w teatrze, to jest w niektórych sztukach, pakował dużo pieniędzy.

Dalsze losy jego były kapryśne i urozmaicone. Po wyjeździe z Lublina

Zet: A jak seminarya w Rożnicy?

Ja: Chodził o seminarya dla inteligencji terenowej? Będziemy je prowadzić i w następnym roku. Zgłaszają się kandydaci i z innych województw. Zresztą i z naszego nie zabraknie. Myślę, że środki na ten cel znajdziemy. ZG ZMW bardzo popiera tę akcję, nasze władze wojewódzkie również. Są konkretne rezultaty. Niemal wszyscy uczestnicy seminariów biorą czynny udział w tak zwanych kursach oświatowo-politycznych prowadzonych przez ZMW. Są i inne objawy, świadczące o ruchliwości tych ludzi. Wyjaśniam, że UL w Rożnicy przeszkolił na dwutygodniowych seminariach 445 osób, reprezentujących różne zawody. Uczestnicy seminariów dla inteligencji tworzą często jednolity front działania, pracują nad sobą, wyzbywają się szkodliwego, wąskiego profesjonalizmu. Kontakty z tym ludźmi są szczególnie mile. Na seminariach wykładają wybitni specjaliści, między innymi pracownicy nauki tej miary, co profesor Żółkiewski, profesor Suchodolski i inni, obok nich historycy sztuki, astronomowie, ludzie teatru, poslowie, pisarze.

Zet: Hm. Czy nie sądzi pan, że jest zbyt mało uniwersytetów ludowych?

Ja: „aby mogły one odegrać jakąś poważniejszą rolę w wychowaniu i kształceniu młodzieży wiejskiej”? Oczywiście. Często na ten temat dyskutujemy. Miejmy jednak nadzieję, iż pożyteczne formy oddziaływania wychowawczego w uniwersytetach ludowych wykorzystane będą i przez inne placówki działające zwłaszcza na wsi, na przykład przez technika rolnicze lub przez szkoły przysposobienia rolniczego. Bez przesady wolno chyba stwierdzić, iż uniwersytety ludowe mają najlepiej zorganizowane życie internatowe. Na naszych naradach pedagogicznych formom i treściom tego życia poświęcamy wiele uwagi. Zauważmy, że stoimy na uboczu od wielkiej sfer szkolnej, ale ciągle mamy nadzieję, iż doświadczenia pedagogiczne UL będą kiedyś wykorzystane przez wychowawców wszystkich internatów.

Zet: Czy były jakieś próby w tym kierunku?

Ja: Niewielkie. Staramy się, aby zebrania ogniska ZNP odbywały się w uniwersytetach ludowych. Niekiedy przyjeżdżają do nas nauczyciele i wychowawcy internatów i z dalszych regionów.

Na tym p. Zet. zakończył swoje interview. Z jego nieruchliwej twarzy, z całej zresztą postawy, trudno było odczytać, czy jest zadowolony z odpowiedzi.

Odwiedził nas już pewnego razu gość tego typu. Był zdumiony. Tylko sześćdziesiąt osób i tyle szumu? Sądziłem, że macie co najmniej trzysta — czterysta osób? A jaką w ogóle macie przepustowość rocznie?

Odpowiedzieliśmy: — Trudno powiedzieć. Niekiedy w ciągu jednej niedzieli przewija się przez wszystkie sale kilkaset osób. Na przedstawieniu pod gołym niebem było 2.000 widzów, na koncerty Filharmonii Narodowej przychodziło około 200 osób, na herbatki dla inteligencji 50—60. — Gość zlągnął. Ale myśmy jeszcze dorzucili: — To są doraźne, uboczne prace UL. My zaś mamy aspiracje, aby swoich wychowanków wychowywać, a przynajmniej utrzymywać z nimi kontakty przez długie lata. I wtedy, kiedy zachłystują się sukcesami, i wtedy też, kiedy tracą grunt pod nogami i balansują nad przepaścią.

Waldemar Babinicz

obiął się po różnych drugorzędnych teatrykach, a nawet jakiś czas występował w cyrku. Zarzucano mu, jakoby w czasie okupacji odegrał dwuznaczną rolę. Później go zrehabilitowano. Po wyzwoleniu wyładował jako starosta w Szumie. Na pytanie jakiegoś dziennikarza, jak się czuje na tym stanowisku, podrapał się, znanym gestem w tył głowy i odpowiedział: „nie takie się rolę grało”. Później pracował dłuższy czas w uzdrowiskach państwowych, podobno bardzo dobrze.

A jednak wrócił na scenę, bez której nie rozumiał życia. Początkowo w Szczecinie, a później w Olsztynie. Tamże obchodził uroczysty jubileusz 50-lecia pracy, został odznaczony wysokim orderem państwowym. Tam też zmarł w 1961.

Lublinem się zawsze interesował. Gdy mu jeden ze znajomych opowiadał o obecnym teatrze w Lublinie i że sztuki idą niejednokrotnie po 100 razy — rozplakał się. Tak, to był jednak człowiek teatru.

Konrad Bielski

## Park w lutym

Nie mgły, bo te są wszędzie,  
gdy zima jest ciepła.  
Ale sosny, ale jodły, ale cyprysy,  
ale mchy podszycia uległe,  
co się wtapiają w szary metal  
powietrza,  
decydują tu  
o inności krajobrazu.

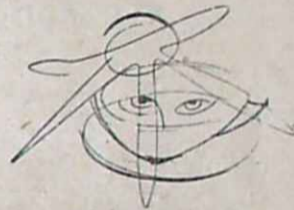
Park przegląda się zalotnie  
i zachęcająco  
w lustrze oczu.

W dzień słotny  
na koniuszkach gałązek,  
na wiotkich pręcikach,  
na sęczkach owoconośnych  
wiszą banieczki kropielek  
deszczowych.

Swierczki srebrne,  
cieniste jodełki,  
wyniosłe cyprysy,  
kopulaste sosny  
same wiedzą  
jak zblec się w szum lub ciszę,  
jak ogarnąć chore serce  
łagodną życzliwością.

Gdzie indziej — rozgwar i rozdarcie.  
Tu — w tonacji pastelowej,  
w ciepłej miękkości powietrza  
ściszenie i zespolecie.

Nawet w dzień słotny  
idąc alejką,  
gdzie na gałązkach drzewek  
tysiące kropiłstych dzwoneczków,  
idziesz w zapowiedź  
spełnienia  
rumianej rzeczywistości zdrowia.

W R O G  
W DOMU

(Dokończenie ze str. 4)

kie: powiew lasu, żywica, półmrok,  
spokój mieszkańców pogodzonych  
z życiem i śmiercią.  
DEZY Prześiąklam już tak miastem,  
że nic już chyba nie zdoła mnie  
zmienić.

JANINA Opowiem ci, co mi się dziś  
przytrafiło, a co mogło tylko tu się  
przytrafić. Porządkowałam rachun-  
ki...

DEZY W takiej chwili?

JANINA Właśnie w takiej chwili.  
Nie wiadomo, co nas czeka. — Po  
północy czułam się bardzo zmęczona,  
ale postanowiłam pracę zakończyć.  
Wskoczyłam z krzesła na wąski blat,  
by sięgnąć po znajdujący się u góry  
skoroszyt i tu stało się coś nie-  
zwykłego. Doznałam zawrotu głowy  
i czułam, że lecę. Wtedy poczułam  
obecność Waława. Wziął mnie  
w objęcia i postawił na podłogę.  
Kiedy się ocknęłam, przekonałam  
się, że go nie ma. — Naturalnie  
świecił księżyc i była cisza.

DEZY Waław żyje, Janino!  
JANINA Czy ja twierdzę, że nie żyje?

DEZY Nie twierdzisz, ale nasuwasz  
myśl. On na pewno żyje...

JANINO Przepraszam cię, ale pasjans  
to głupstwo!  
DEZY Nie wiadomo nigdy w życiu,  
co jest, a co nie jest głupstwem.

GŁOS Uwaga, uwaga!  
DEZY Okropny ten głos! Niech le-  
piej już przyjdą!

JANINA Niech lepiej zapadną się  
w ziemię.  
DEZY Miałas rację twierdząc, że  
Waław nie powinien być ciebie zo-  
stawić samej w tym okropnym  
lesie!

JANINA Nie miałam racji. W miarę  
jak zbliża się niebezpieczeństwo,  
uświadamiam sobie, że moja pasy-  
wność w takiej chwili pogłębiłaby  
tylko moją rozterkę duchową.

Włodzimierz Chelmiński

śmierć. Zapowiada się walka zbrojnych  
chłopów z żołnierzami, a w rezultacie  
podpalenie wsi, gdy pozornie jak *deus  
ex machina*, a w gruncie rzeczy zgodnie  
z logicznym tokiem akcji — zjawia się  
król i przynosi uspokojenie, mianując  
skrzyżowanego chłopca dożywotnim al-  
kadem Zalamei.

Taka jest fabuła sztuki. Rzecz prosta,  
że „Jasny kryształ cnoty” Izabeli mniej  
przejmuje nowoczesnego widza niż  
Hiszpana wieku XVII, lecz skoro wed-  
ług praktyki dzisiejszej potraktujemy  
anegdotę jako metaforę sceniczną, uzy-  
skamy zawsze aktualną sprawę godno-  
ści ludzkiej, pogwałcenia prawa gdzieś  
„daleko w powiecie” i sprawę wymie-  
rzenia sprawiedliwości przez nadrzęd-  
ną instancję, która ma rozstrzygnąć w  
racji stanu. I po co więc wyrzucać kla-  
syka do lamusa?

„Alkad z Zalamei” ma szczególnie  
zwartą akcję jak na epokę literacką,  
w której powstał, ma wyraziście  
ukształtowane charaktery, dużo poezji,  
jest istic po hiszpańsku *apasionado*, a  
więc podziękowanie szczerze należy się  
dyrekcji teatru rzeszowskiego i kie-  
rownikowi literackiemu Jerzemu Pleś-  
niarowiczowi za pokazanie lublinia-  
nom najlepszej sztuki nieśmiertelnego  
Calderona, za mało u nas w Polsce  
granego, za mało tłumaczonego.

Trudno ocenić nieznaną nam bliżej  
teatr po dwóch — trzech przedstawie-  
niach, ale wydaje mi się, iż scena rze-  
szowska rozporządza dobrymi siłami.  
Na czoło zespołu „Alkada” wysuwa się  
zgodnie z wolą autora wykonawca roli  
Crespa, którym jest w danym wypad-  
ku Stefan Winter, grający chłopca z do-  
stojną prostotą. Znany lubelskim wi-  
dzom Zdzisław Sikora poczyna sobie  
z piękną werwą i dezynwoliturą w roli  
szczwanego żołnierza Rebolleda, były  
lublinianin Jerzy Mędrkiewicz — ge-  
nerał Lope de Figueroa — godnie do-  
trzymywał placu reżolutnemu chłopu  
we wszystkich z nim starciach słow-  
nych. Włodzimierz Górny grając Jua-  
na, syna Crespa, łączył szczęśliwie mło-  
dzieńcze aspiracje z zaangażowaniem  
w sprawę czci swej rodziny, a Witold  
Gruszecki, jako Don Alvaro — ele-  
gancję z niekzemnością. Jednomyślnie  
pochwały zyskała stworzona przez Ta-  
deusza Czarnowskiego zabawna postać  
Don Menga, szlachcica — głodomora,  
ukształtowana przez Calderona na  
modłę satyry Cervantesowej.

Irena Chudzikówna (Izabela), Bar-  
bara Bardzka (Ines) i Lidia Maksymo-  
wicz (Iskierka) prezentują z wdziękiem  
nieliczny świat kobiet „Alkada z Za-  
lamei”. Lidia Maksymowicz ukazała  
nawet w piosence dobry materiał gło-  
sowy.

Zasadniczy zarzut, jaki można by  
wysunąć pod adresem reżysera (Stefan  
Winter), dotyczyłby ogólnego tempa  
spektaklu. Potężna gra namiętności w  
„Alkadzie” powinna chyba toczyć się  
bardziej wartko. Pozostawia także coś  
nieco do życzenia scenografia, przede  
wszystkim kostiumy (tekstylija z MHD  
podane *in crudo*), ale i dekoracja,  
szywna i płaska (może tu zresztą za-  
winęły nasze reflektory, niedostosowa-  
ne do przyjeźdnego spektaklu).

Podczas gdy rzeszowianie dali nam  
„Alkada”, myśmy im posłali „Kolegę”  
Simla w reżyserii Zofii Modrzew-  
skiej. Spektakle nasze również spot-  
kały się z aplauzem. Cieszy nas bardzo  
powodzenie tej teatralnej wymiany,  
która jest jednym z faktów dokonanych  
współpracy czterech województw  
wschodnich. Jak wiadomo, „Kamena”  
odnosi się z entuzjazmem do dalszych  
obszernych planów szlachetnej sąsiedz-  
kiej emulacji i pomocy.

Scena z interesującego przedstawienia sztuki Aleksandra Szejna  
„Hotel Astoria”, które widziałam w Rzeszowie. Na zdjęciu: Irena  
Chudzikówna (Świłłana), Stefan Winter (Konowałow) i Zofia Gor-  
czyńska (Katarzyna)



## Calderon w Lublinie

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

**H**EROSTRATOWSKIE podpalenie  
klasycznego gmachu lektury  
szkolnej przez Alicję Lisiecką  
ośmieliło chętnych do bawienia się  
zapalkami i w innych regionach życia  
kulturalnego. Do takich pysznych  
„podpalonek” na mniejszą skalę można  
zaliczyć ocenę arcydzieła klasyka  
hiszpańskiego, która wyszła niedawno  
spod pióra recenzenta „Kuriera Lu-  
belskiego”, przy okazji gościny u nas  
Teatru im. W. Siemaszkowej z Rze-  
szowa. Pisze bowiem skądinąd sympat-  
yczny kolega Gal:

„Rzeszowski teatr przywiózł ze sobą  
sztukę Pedro Calderona pt. „Alkad  
z Zalamei”. Utwór trącający już lamu-  
sowym zapaszkami nabrał trochę ru-  
mieńców dzięki doskonałemu przekła-  
dowi Ludwika Hieronima Morstina.  
Starał się też uprzystępniać współcze-  
snemu widzowi tę niezbyt już nas  
pasjonującą sztukę hiszpańskiego pi-  
sarza również i reżyser Stefan Winter.  
Nie zawsze co prawda z boju z gada-  
liwym autorem reżyser wychodzi  
zwycięsko. Może zbyt wiele jeszcze  
pozostawił na scenie sytuacji mart-  
wych, monotonnych monologów, prze-  
stróg i zapewnień...”

I tak dalej jeszcze o patetycznej  
nutce, „którą wyczuwa się zwłaszcza  
w kwestiach wypowiedzianych przez  
starego ojca...” Ale już dość cytatów,  
nie wypada przecie brać tyle wier-  
szówki za kol. Gala.

Biedny Calderon! Zamaszystym ru-  
chem długopisu odsądzono go od czci  
pisarskiej, skrupiło się na nim. A fe,  
nieładnie!

Zgoda, że przekład Morstina brzmi  
doskonale, lecz czy zaraz oryginał  
musi być mizerny? Sprawa owych  
„rumieńców” wymagałaby dochodze-  
nia. Co do mnie, wyznaję otwarcie,  
iż nie miałam w ręku tekstu hiszpań-  
skiego, śmiem jednak przypuszczać,  
że Morstin niczego nie dodaje. Julian  
Święciński przytoczył swego czasu w  
studium o Calderonie spore fragmenty  
dialogu „Alkada” przełożone prozą.  
Dalbóg brzmią nie mniej jędrnie niż  
to, cośmy słyszeli ze sceny. Jest to  
chyba argument na korzyść Calderona.

Zgoda następnie, że przedstawienie  
rzeszowskie było starannie opracowane  
i że rzeszowianie są naszymi miliymi  
sąsiadami, lecz oddajmy *sum cuique*,  
cóż Galowi zawinił Calderon?

Nie wyważałabym dla obrony wiel-  
kości Calderona drzwi otwartych na  
oścież, gdyby nie padające raz po  
raz przy kasie pytanie: „Alkad z Za-  
lamei? Czy to sztuka rozrywkowa?”  
Trudno, nie każdy widz musi mieć  
wiadomości o klasyku obcym. Ale  
w tych warunkach wydaje mi się  
rzeczą słuszną, by recenzja pisma  
popularnego sygnalizowała, niezależnie

od indywidualnych impresji, rangę  
omawianego utworu i autora.

Tak czy inaczej Calderon wyszedł  
z lubelskiej próby obronną ręką.  
Publiczność żywo reagowała na dow-  
cipy pierwszych dwóch aktów, śledziła  
w napięciu dramatyczne przygody aktu  
trzeciego.

„Patetyczna nutka” — dobre sobie!  
A *grandeza hiszpańska* to już się nie  
liczy? Pycha, duma, dostojęństwo —  
różne postacie poczucia honoru, po hisz-  
pańsku? Postuchajcie no tego: „Don  
Pedro Calderon de la Barca *Barreda  
Gonzales de Heneo Ruiz de Blasco y  
Riano*”. Jak wam się podoba takie  
brzmienie nazwiska? Niewątpliwie sie-  
demnastowieczna aura Hiszpanii jest  
dla nas mocno egzotyczna. Może nawet  
egzotyczna jest mimo wszystko nie tyl-  
ko siedemnastowieczna. Wiem, że zaraz  
mi powiedzą o „nowym odczytaniu”  
i o „przybliżaniu do widza”. A więc  
odczytajmy i przybliżajmy, lecz nie  
proponujemy upraszczania zadań przez  
wyzbycie się barwy lokalnej i barwy  
czasu.

Pamiętacie o co poszło? W momen-  
cie przemarszu wojska Filipa II przez  
wioskę Zalameę jeden z oficerów por-  
ywa córkę powszechnie szanowanego  
chłopa. Obrany równocześnie alkadem,  
czyli wójtem i sędzią, ojciec zgwako-  
nej dziewczyny każe aresztować roz-  
wydrzonego szlachcica i skazuje go na

„Alkad z Zalamei”. Na zdjęciu — Stefan Winter (Pedro Crespo)  
i Irena Chudzikówna (Izabela)

**BEATA BATUK**  
(Ostrowiec)

**HENRYK JACHIMOWSKI**  
(Rożnica)

**MARIAN BARAN**  
(Jędrzejów)

**ADA KOPCIŃSKA**  
(Ostrowiec)

## Obok

Wojna się śmiała gębą armat  
gdy mojej matce z bólu  
przekwitwały ręce  
a ja  
wymięta w jej wnętrzu  
nie mogłam nawet poczuć  
że jestem  
ludzie druzniali  
z przestrzeloną głową  
konali dumnie  
i szczyli ze mnie  
ich Bóg pokarał  
choć bohaterstwem  
a mnie  
mnie nie dał  
nawet się dopełnić  
ziemia się żyweem  
pozwała. krajać  
i z wycieńczenia  
umierała nocą  
potem rozdziła same martwe dzieci  
i po kryjomu  
topiła je w nocy  
księżyc zły wstawiał  
i kłął bardzo jędrnie  
matka zwiędłe ręce  
wkladała do wody  
a teraz  
dłonie mojej matki kwitną  
i otwierają się  
każdego ranka  
i nikt nie mówi  
że gdzieś bardzo boli  
a to już przecież  
nie wojna.

rybaicy towar ładowali  
ryby w słońcu piękne były brzozy  
się kiwały ki ki mewy  
krzywały jak by się zanosilo na co

łodzie kołysały się jak tułowia wędrujących baranów  
rybaicy na łodziach byli  
mieli rybaicy nogi nagie  
wypowiadali wypowiadali słowa fachowe dobry  
dobry interes tylko niech się uda tylko  
jak się uda ho ho  
uśmiechali się do ryb lusterek

stałem obok

wokół mnie dzieją się rzeczy dziwne  
stoję obok  
zamieniony w słup soli

## Pejzaż wspomnień

Wiatr mi wyszumiał  
w wioski piosence  
wstążeczkę siostry  
deszczu plumplanie  
i uśmiech kaluż  
na wiejskiej drodze  
i świergot wrótni  
przy ojca płocie  
i dzień  
i słońce  
Z bogami dziecka  
chodzę pod rękę  
i błogosławję  
ich matek ręce.

## Nie ma nocy

Nocy nie ma wcale  
istnieje światło  
chropowaty błysk  
wargami stwardniałymi  
w szczecinę cienia rozproszona  
po kamiennych stopniach  
Nocy nie ma  
tej prawdziwej  
nawet w czerni  
biały krzyk jak ptak  
uwięziony między piersiami  
zwykłego lęku  
mrok przecieka  
między palcami  
zwyyczajny ostry śnieg  
wbija się paznokciami we włosy  
Nocy nie

**RYSZARD FATYAGA**  
(Sędziszów)

**STANISŁAW GLEŃ**  
(Jędrzejów)

## Spokój

Noc drobną ręką  
spryskała nas spokojem  
rozdmuchała ogniki papierosów  
skry wyłapała w kaganek  
i grzeje dzieweczce dłonie  
czasem zakręci  
jak chłopak na pastwisku  
i patrzy jak nikną  
w naszych oczach

Daję ci  
Weź  
Trudno jest  
Rwij pełnymi  
garściami

Weź sobie  
Nie przystajesz  
Cierpka jest noc  
W zaułkach latarów  
ktoś zapłaci  
Padają ciała  
Myślałem  
że wróciś.

**RYSZARD PODLEWSKI**  
Kielce.

## Fraszki

### O ODWAŻNYM

Odważny niesłychanie!  
— odważa... każde zdanie!

### PISARZ

Ugrzązł za biurkiem tonąco  
w schematach,  
kiedyś literat — dziś piórokrata!

### O MÓWCACH

W bardzo wielu przemówieniach  
rys ten jest typowy:  
częściej mówi się „z ramienia”,  
aniżeli... z głowy.

### RADA DLA „SKACZĄCYCH WZWYŻ”

Dobłą radę dać wam mogę  
znam się na tym znakomicie:  
trzeba pić sodową wodę,  
żeby dobre mieć... odbicie!

## O NAUCZYCIELACH I NAUCZANIU BEZ CUDÓW

(Dokończenie ze str. 1)

skiego poczuli w sobie nawet ci, którzy nigdy w życiu nie splamili się przeczytaniem choćby jednej popularnej broszurki na pedagogiczny temat, a kiedy spiker w radio zapowiada: „Pięć minut o wychowaniu” — z irytacją przekręcają gałkę.

Bywa też jeszcze inaczej. Przychodzi do szkoły zirytowany rodziciel:

— Panie, zrób Pan co z tym moim chłopakiem, bo, jak Boga kocham, zamorduję kiedy szczeniaka. Nerwów już do niego nie mam.

A za kilka dni ukazuje się w prasie artykuł pióra rzeczonoego rodziciela, w którym autor tonem kategorycznym „instruuje” nauczycieli i dyktuje im wskazania, według których powinni w szkole dzieci chować. Świadomy rzeczy nauczyciel uśmiechnie się ze smutną ironią na temat: „Medice cura te ipsum”. Ale nieświadome lub bezkrytyczne rzesze z podziwem i przestrachem wypowiadz w prasie adorować będą, pełni szacunku dla drukowanego słowa.

Ech, długo by można na ten temat i tragicznie, i wesoło, ale że sytuacja przez to i tak się nie zmieni, więc dość.

Pragnę tylko gorąco zapewnić i uspokoić zdeorientowaną cokolwiek kampanią prasową opinię publiczną: słowo honoru, że nauczyciele się uczą. Z całą pewnością, proszę państwa. Jak nie na uniwersytecie, to na Studium Nauczycielskim, a wreszcie na przeróżnych kursach — gdzie kto

może, nie mówiąc oczywiście o samokształceniu. I raczej nie ma powodu robić społecznej tragedii na temat „nieuctwa” nauczycieli i ich zlego przygotowania pedagogicznego. Z drugiej strony nie należy ich zaliczać do piątego chóru anielskiego. Są zupełnie zwykłymi ludźmi, takimi jak wszyscy. Tak samo stoją w ogonku po pomarańcze, tak samo są gnienieni w zatłoczonych autobusach, tak samo chorują im dzieci, a mężowie, czy żony robią im wymówki, że zbyt mało czasu poświęcają dla domu. I tym tylko różnią się od zwykłych śmiertelników, że niezliczone ilości wdzięcznych elewów pozdrawiają ich co chwila grzecznym: „dzień dobry” na wszystkich ulicach miasta.

Jedno jest w tym wielkim dyskusowaniu słuszne: troska o poziom nauczania, któremu daleko do doskonałości, który się wcale na przyszłość różowo nie zapowiada, nawet gdyby program nauczania zmieniono od a do z. Niezadowolający poziom wiadomości uczniów przeważnie wcale nie jest wynikiem złej pracy nauczyciela, ale warunków, w jakich szkoła pracuje.

Wystarczy odwiedzić choć kilka podstawowych szkół lubelskich, żeby zorientować się, że większość z nich pracuje na trzy, a nierazko i na cztery zmiany. Czyli, w tym wypadku, ostatnia zmiana dzieci opuszcza szkołę o godzinie 20. Tymczasem, jak z badań specjalistów powszechnie wiadomo, właściwe korzyści przynosi dzieciom nauka w godzinach rannych. Zatem druga zmiana jest już pod znakiem zapytania, ale tragedii jeszcze nie ma. Natomiast trzecia, a zwłaszcza czwarta jest praktycznie czasem straconym. Nie ma sily, która by o godzinie 19 powstrzymała od drzemia zmuszone do spokojnego śledzenia w ławce dziecko, które przez cały dzień bawiło się i hasało. Jeszcze gdyby nauczyciel pokazywał jakieś cuda na patyku, potrafiłby może

wyrwać z drzemki uwagę ucznia. Tymczasem właśnie w tych godzinach trzeba realizować normalny program, w którym jest i ortografia, i gramatyka i rachunki, i inne rzeczy nieco monotonne ze swej natury. Można wiadomości z tych dziedzin podawać w sposób atrakcyjny, ale nie tak znów nadzwyczajny, żeby pobudzić śpiące umysły do gwałtownego wysiłku. Tymczasem program nie przyswojony przez ucznia należyce powoduje luki w jego wiadomościach i sposobie myślenia. W następnym roku dziecko zaczyna „kuleć”. Musi nadrobić braki i jednocześnie przyswajając nowy materiał. Program pomyślany jest tak, i słusznie zresztą, że wiadomości z następnej klasy opierają się i rozwijają na wiadomościach z poprzedniej. A jak tu budować dom na próżni? Stąd mnożą się konflikty między nauczycielami — dziećmi — rodzicami. Stąd wzajemne urazy, żale i pretensje. Stąd wzajemne pomawianie się o brak inteligencji, kretynizm.

A rozwiązanie wydaje się tak proste. Trzaska trochę mocniej chudą kiesą i hojniej sypnąć groszem na budowę szkół. Żeby ich było wreszcie pod dostatkiem. Jeżeli nas stać na kupowanie pralek, odkurzaczy i motorów... A wreszcie jeżeli nas w ogóle stać na dzieci, to powinno by nas stać także na budowę szkół dla nich. Przecież to o ich przyszłość chodzi. Tym bardziej, że o tym zapewnianiu szczęśliwej przyszłości naszym dzieciom tak obszernie i obficie lubimy mówić.

**S**KORO już mowa o poziomie nauczania w szkołach, to warto poruszyć jeszcze jeden problem, który właściwie dotąd obszernego i rzeczowego poruszenia się nie doczekał. Jest to sprawa pomocy naukowych. Kiedy poidzie się do Centrali Zaopatrzenia Szkół i rzuci się okiem na gabloty, półki, stoliki, to w pierwszej chwili wygląda to nawet imponująco. Tyle tych przeróżnych przyrządów, tablic, przezroczy... Otrzeźwienie przychodzi jednak bardzo szybko. Owszem, pomocy naukowych jest dużo, tylko że właściwie sporo z nich na nic się nie przydaje, a tych, bez których nie można się obejść ani rusz — w ogóle nie ma. Po prostu nikt nie pomyślał o wyprodukowaniu ich. I znów na ten z kolei temat można by dużo, i wesoło, i tragicznie. Ograniczę się jednak z konieczności do kilku przykładów.

W klasie siódmej „przerabia się” „Pana Tadeusza”, który dla dzieci w większości jest niezrozumiały, dla prostej przyczyny braku właściwych

pomocy naukowych. Dla nas, ludzi dojrzałych, czy też będących w „sile wieku”, dwór i dziedziec to nie jest znowu nic takiego niezwykłego. W dzieciństwie, czy też wczesnej młodości, oglądaliśmy to i per analogiam chociażby Sopliców wyobrazić sobie jako tako mogliśmy. Tymczasem nasze czterdziolatki nie takiego nigdy nie widziały. Ich wyobrażenia o soplicowskim dworze (podobnie zresztą, jak o dworku czarnoleskim, dworze z „Placówki” i innych) waha się między jednorodzinny domkiem w mieście a wiejską chałupą kryta strzechą. I konia z rzędem fenu, kto piękny, kolorowy obraz fasady dworu i jego wnętrza dostanie. Nie o jeden zresztą soplicowski dwór chodzi. Przecież między dworkiem XVI-wiecznym a XVIII czy XIX-wiecznym są poważne różnice architektoniczne. Ale to wszystko pozostaje dla dzieci sferą nieznaną. Podobnie przedstawia się sprawa karcmy i całej masy innych problemów. Właściwie jedyną pomocą dla „Pana Tadeusza” jest teka ilustracji Andriollego i przezrocza, na których te ilustracje są prosto sfilimowane. Te ilustracje są bardzo ładne, ale z punktu widzenia poznawczego dla uczniów właściwie zupełnie nieprzydatne. Przede wszystkim Andriolli ograniczył się do przedstawienia mnóstwa wążastych postaci, często artystycznie skłębionych, które właściwie dzieciom nie mówią nic i są dla nich wszystkie jednakowe, bez wyraźnych różnic indywidualnych, tym bardziej, że zarówno obrazy, jak i przezrocza, są w czarno-szaro-białych kolorach.

— To ma być Zosia? — wołają dzieci z oburzeniem — Przecież ona ma tu ze trzydzieści lat, a nie trzynaście.

Czy żaden ze współczesnych plastyków nie zdobędzie się na spreparowanie solidnego, kolorowego Podkomorzego? Żeby taki miał i wasy, i dostojność senatorskie w postaci, i barwny kontusz, i pas słucki, i karabelę, i choć trochę różnił się od równie kolorowego i wążastego Woźnego? Albo naprawdę trzynastoletniej Zosi, która pomimo krynolinki i „pukli przepięknych wstęgami” wyglądałaby na swóć wiek, a nie na leciwą panię, której na słowo tylko wierzyć wypada, że jest podlotkiem oraz rówieśniczką naszych szósto- i siódmoklasistek.

Nie na „Panu Tadeuszu” problem braku właściwych pomocy naukowych zaczyna się i kończy. Tak jest z wieloma partiami materiału. Nie ma lalerek w strojach historycznych i ludowych, nie ma kompletu obrazów „na każdą okazję”, nie ma loteryjek ortograficznych, które tak przyjemnie i „bezboleśnie” uczą prawideł pisania itp., itp. Ze już nie wspomnę obszerniej o znikomych ilościach egzemplarzy lektury obowiązkowej i nadobowiązkowej oraz o chronicznym braku porządných słowników ortograficznych (słowniczki będące obecnie w użyciu zawierają tylko połowę wyrazów potrzebnych dzieciom).

Moment wprowadzenia reformy szkolnej zbliża się wielkimi krokami. Nauczyciele starają się przygotować do tej chwili, w miarę swoich możliwości, solennie. Czas, aby do tych przygotowań przylączyły się zakłady produkujące gomoce naukowe i... społeczeństwo. Ale już nie werbalnie. Rzeczowo.

Alina Tomaszewska



# RZESZOWSKIE REGIONY ETNOGRAFICZNE

FRANCISZEK KOTULA

Z biegiem czasu na miejscu puszczy, ale na terenach różnych topograficznie, wytworzyły się dwie wtórne grupy etnograficzne, które określano terminami roboczymi: **Podgórzanie i Rzeszowiacy**.

Północna część województwa rzeszowskiego to ogromna połać Niziny (czy Kotliny) Sandomierskiej, w większości aż do XV, a nawet XVI w., porośnięta podmokłą Puszcza Sandomierską. Są to widły Wisły i Sanu oraz tereny na prawym brzegu dolnego Sanu. Gleba tu, z nielicznymi wyjątkami, piaszczysta, nieprzyjazna. Lepszy glebowo Płaskowyż Kolbuszowski - Sokół-

ski zdaje się już w XV w. zasiedlił Mazurzy z Mazowsza. Nieprzyjazne tereny na północ i południe od płaskowyżu, w ciągu XVI i XVII w., w którym to czasie Polska często prowadziła wojny, zasiedlano elementem jeńckim. Były tu liczne królewskie tereny, w średniowieczu królewskie tereny łowieckie. W puszczy uciekali też ci, którzy weszli w konflikt z prawem feudalnym.

W rezultacie, na terenie Puszczy Sandomierskiej, z bardzo różnego elementu ludzkiego wytworzyła się bardzo swoista grupa, która też jest twórcą etnonimu, a więc własnej nazwy: **Lasowiacy**.

Reasumując: obok terenów „kresowych”, które wytworzyły się dzięki wpływowi sąsiedów — na zachodzie Krakowiaków i Sandomierzan — posiadamy w województwie rzeszowskim trzy grupy etnicznie polskie, specyficzne dla województwa, bardzo się od siebie różniące, wtórne, nie pierwotne, tj. Rzeszowiaków, Podgórzan i Lasowiaków.

Trzeba to zaakcentować: podczas gdy terminy Lemkowie i Bojkowie są etnonimami, Pogranicze i Dolinianie są terminami „roboczymi”, skonstruowanymi przez etnografów.

Wiadomo, że średniowieczne nie było spokojnym okresem. Władcy polscy i ruscy, a z drugiej strony polscy i węgierscy, chcąc zabezpieczyć wzajemnie swoje posiadłości przed apetytami sąsiadów, tworzyli — w tym czasie — naturalne granice między państwami w postaci nieruszanych olbrzymich puszczy. Te na terenie obecnego województwa rzeszowskiego rozciągały się z północy na południe dorzeczem Wisłoka i Mleczyki, a następnie dorzeczem dolnego Sanu, na południu — Podgórzem Karpackim. Przez owe puszcze biegly nieliczne drogi, strzeżone przez silne grody.

W r. 1340 Kazimierz Wielki odzyskuje Ziemię Sanocką i Przemyską, przesuwając równocześnie granice swego państwa daleko na wschód. Następuje uspokojenie w stosunkach z Węgrami. Puszcze stają się zawałą, zwłaszcza puszcza wschodnia, utrudniając zespolenie nabytków z trzonem państwa Kazimierza. Zapada wyrok: puszcze muszą być zlikwidowane, a wykarczowane tereny zasiedlone. Ale ze własnego, tj. polskiego elementu osadniczego było za mało, zwrócono się po materiał ludzki na zachód, do Niemiec. II połowa XIV i I połowa XV wieku to czasy żywej akcji osadniczej.

Na Podgórze, gdzie były już liczniejsze osady polskie i nieliczne ruskie ewentualnie wołoskie, przyszli Niemcy znad Renu. Puszcza nad Wisłokiem, a więc żyzne ziemie koryta Prawiśły i lessowe zwąły, zasiedlili koloniści ze Śląska, z Łużyc i Saksonii, więc z terenów polskich względnie słowiańskich, przynosząc z sobą elementy kulturowe zachodnio-słowiańskie.

„Z inicjatywy J.E.Ks. biskupa Augustyna Łosńskiego na ironie wieży katedralnej wmurowano pylon pamiątkowy ku czci Tadeusza Kościuszki, wykonany w pracowni kieleckiej „Polsag”, należącej do firmy Migdałskiego i Skuczynskiego. Koszta tej piaskorzeźby pokryli kielczanie drogą składek. Wykonana jest w piaskowcu, a wielkość jej wynosi 4,30 m. długości i 2,55 szerokości.

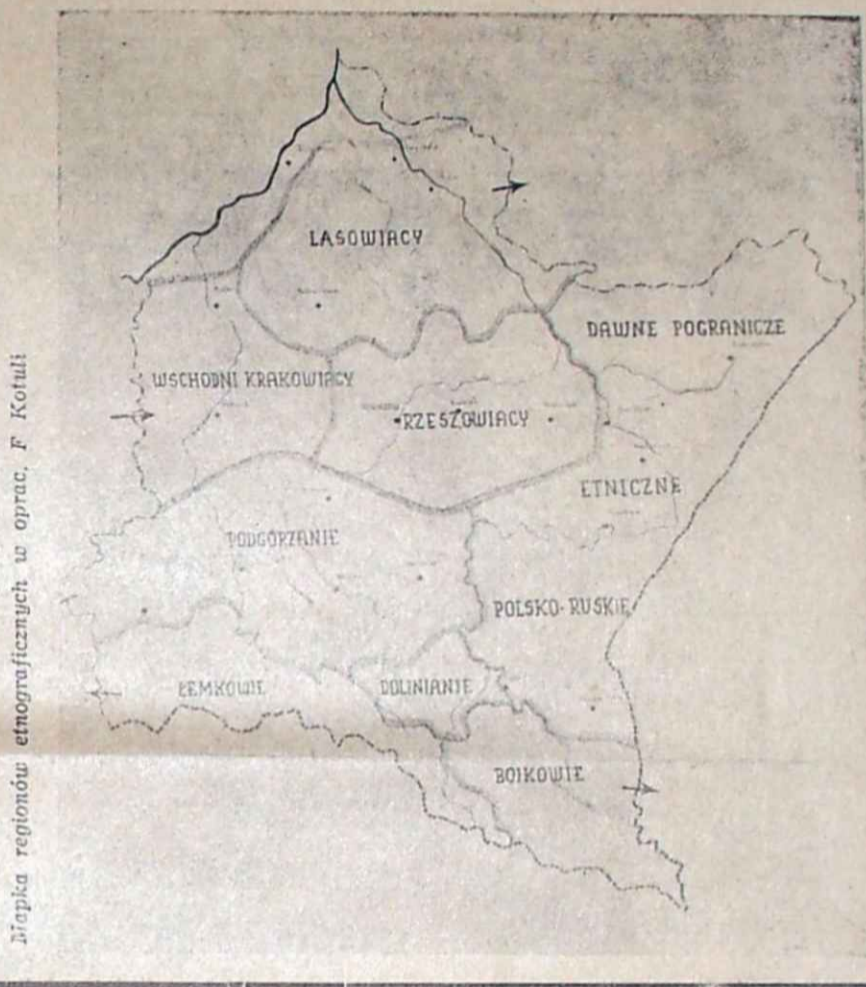
U góry jest data 1817—1917, pod nią znajduje się popiersie Kościuszki według paryskiej podobizny Lamberta, od której dąto rzeźbiarza mało co odstąpiło, kierując się jednak innymi również wzorami i własną intuicją artystyczną. Popiersie to piaskorzeźbowe występuje bardzo dobitnie z tła ogólnego, a otacza je wieńiec z dwóch gałęzi — wawrzynowej i dębowej. Pod popiersiem ułataje słicznie otworzony orzeł biały z napisem na wstążce w szponach: „Wolność, Ciepota, Niepodległość”. U spodu monumentu inskrypcja: „Naczelnikowi Narodu Tadeuszowi Kościuszce — Kielczanie”.

Ciepota przedstawia się interesująco i czyni zaszczyt firmie, która ją wykonała”.

Ale wróćmy do interesujących wydarzeń z roku 1917. Program uroczystości 100-lecia zgonu Naczelnika przewidywał m. in.: odczyty (osobno — dla „ludu wiejskiego”, dla robotników, dla młodzieży rzemieślniczej i ekskluzywny — dla śmietanki towarzyskiej!), przedstawienia — galowe w Teatrze Polskim i amatorskie — w Teatrze Ludwika, w sali rzemieślniczej oraz w szkołach. Przygotowano także okolicznościowe, „bogo-ojczyźniane” deklamacje i śpiewy. Centralnymi punktami obchodów miało być jednak odsłonięcie piaskorzeźby na katedrze oraz poświęcenie kamienia pamiątkowego u zbiegu ulic: Leonarda (obecnie Moniuszki) i Tadeusza (której przy tej okazji przywracano zniszczoną przez zabórce pełną nazwę: „ulica Tadeusza Kościuszki”).

Słowa programu nie stały się jednak w pełni ciałem, a w każdym razie realizowały się one nie w tej formie i czasie, w jakich planowali organizatorzy. Nie uprzedzając faktów, oddajmy znów głos „Gazecie Kieleckiej”, która w numerze z 18 października 1917 r. pisała:

„Chociaż właściwy dzień uroczystości naznaczono na poniedziałek, jednak już w niedzielę od wczesnego rana zapanało w Kielcach ożywienie o nastroju podniosłym. Domy i ulice zaczęły dekorować. Niektóre balkony i okna wyglądały prześlicznie. Odnaczały się szczególnie sklepy Stowarzyszenia Polskiego przy pod rogatką krakowską i na ulicy Szerokiej, ozdobione pięknym transparentem z napisem: „On zerwał kajdany, w których jęczał Naród” (...). Cate oddzwia sklepów tonęły w girlandach świerkowych ze wstęgami. Orzeł biały rozwijał swe skrzydła a po bo-



Mapka regionów etnograficznych w oprac. F. Kotuli

kach transparentu chwiała się na wieżach sztandary.

O godz. 2 po południu w niedzielę ks. redaktor Błaszczyk wygłosił w Teatrze Ludwika głęboko przemyślane i odczuwane słowo o Kościusce, zaszczycone obecnością J.E.Ks. biskupa. Na tem przedstawieniu była niezliczona masa ludu miejskiego i wiejskiego.

(...) Pogoda w niedzielę była prześliczna i ciepła.

(...) Następnego dnia, w chmurny i chłodny już poniedziałek, w samą rocznicę zgonu Naczelnika odbyło się najprzód w kościele katedralnym solenne nabożeństwo dla młodzieży szkół początkowych i średnich.

(...) O godz. 11 J.E.Ks. bp Augustyn Łosński w asyście kapituły i całego kleru odprawił uroczystą mszę żałobną.

W dalszym ciągu następował szczegółowy opis nabożeństwa, po nim zaś — to, co dla nas najciekawsze: relacja z niespodziewanego skandalu przy popiersiu Naczelnika:

„Bolesne zajście zakłóciło przebieg obchodu kościuszkowskiego w Kielcach. Na publicznym placu przed pylonem Kościuszki który właśnie miał J.E.Ks. bp odsłonić i poświęcić, ustawili się pośród innych uczestników socjaliści i rozwinięli czerwony sztandar. Dowiedziawszy się o tym ks. biskup zażądał ze względów kościelnych (!), aby sztandar zwinęli. Rozpoczęły się blisko godziny trwające pertraktacje między przywódcami grupy socjalistów. Nieumiejętne ich prowadzenie wywołało tylko rozdrażnienie. Socjaliści sztandaru zwinąć nie chcieli, podkreślając przysługujące im ogólne prawo obywatelskie każdego Polaka do składania holdu bohaterom narodowym. Wówczas ks. biskup polecił ogłosić z ambony wiernym zgromadzonym w katedrze że z powodu obecności sztandaru socjalistycznego poświęcenie ze względów kościelnych odbyć się nie może. Z przykrością rozchodzili się bardzo licznie zebrana publiczność i młodzież, różnorodnie komentując sobie całe zajście.

Na placu pozostali socjaliści i sporo ciekawych. Wówczas pan Loeffler i kłunknastu jego towarzyszy wtargnęło na przygotowane do obchodu podium. Pan Loeffler wygłosił przemówienie, protestujące przeciw pozabawieniu jego partii praw obywatelskich w dniu exekucji tego, który głosił równość wszyst-

kich obywateli. Nawlązał dalej do chwili dzisiejszej, zestawil Kościuszkę z Pilsudskim i wreszcie „w imieniu ludu” ogłosił odsłonięcie pomnika. Rozległy się okrzyki: „Niech żyje Józef Pilsudski!”, „Niech żyje Republika!”, „Niech żyje Tadeusz Kościuszko!” (!). Tymczasem towarzysze pana Loefflera odsłaniali pylon. Zaspiewano „Gdy naród do boju”, potem „Rota” i udano się ze sztandarami na czele pod pomnik na miejsce obozu Kościuszki ufundowany przez Radę Miejską, który według programu miał być odsłonięty dopiero po południu. Tam również wygłoszono przemówienie. Po rozejściu się publiczności z placu przed katedrą, służba kościelna rozebrała wzniesienie przed pylonem na wieży, a sam pylon zastoniła”.

To było pamiętne dnia 15 października. Po nim nadeszły dni następne, a kamienne oblicze Naczelnika, którym przyozdobiono wieżę katedry, pozostawało wciąż zasłonięte. W ten sposób biskup Łosński dawał wyraz swej dezaprobacie wobec odsłonięcia dokonanego przez PPS-owców. Ta niecodzienna „kwarantanna” pomnika trwała przez cały tydzień. Dopiero po jego upływie Eksceleńcja zdecydował się ująć w dłoń krowidło. Według relacji „Gazety Kieleckiej” z dnia 23 października odbyło się to jak następuje:

„Odsłonięcie pylonu kościuszkowskiego na wieży katedralnej w Kielcach odbyło się w niedzielę, dnia 21, z wielką uroczystością. Plac Mariacki wyglądał wspaniale. Niezliczone tłumy wiernych zapełniły go doszczętnie.

(...) Nastąpił po kazaniu J.E.Ks. biskupa właściwy akt odsłonięcia i poświęcenia tablicy piaskorzeźbowej. Rozsunięto zastonę na rzeźbie. Ukazało się słodkie i męzne oblicze Naczelnika”.

O tym, jaki wyraz malował się na „słodkim i męznym obliczu” kronikarz milczy. Nie ulegajmy więc i my narzucającym się paralelom i nie porównujmy awantury przy popiersiu z pokrewnym duchem, acz dotyczącym innego obiektu, zajściami w pewnym znany z lektury i ekranu miasteczku francuskim...

## SKANDAL przy POPIERSIU

Epizod z dziejów  
Ziemi Kieleckiej

STANISŁAW FORNAL

MOTTO:

— Patrz, Kościuszko, na nas z nieba!  
raz Polak skandował  
i popatrzył nań Kościuszko,  
i się zwymiotował.

K. I. GAŁCZYŃSKI

BYŁO to w październiku 1917 roku. Kielce, w przededniu odzyskania niepodległości państwowej, znalazły się pod krótkotrwałą okupacją austriacką. Władze dogorywającego już c. k. mocarstwa Habsburgów ze znacznym liberalizmem podchodziły do wolnościowych dążeń Polaków. Spośród pozostałych dwóch potęgaborczych, kajzerowskie Prusy — sojusznik Austrii — stały w obliczu zbliżającej się klęski. Rosję zaś — już nie carską — tylko dni dzieliły od wybuchu rewolucji proletariackiej. W takich to warunkach czczono na ziemiach polskich przypadające na 15 października 1917 roku 100-lecie zgonu Tadeusza Kościuszki. Nie pozostały pod tym względem w tyle również i Kielce. Tędy przecież wiodł szlak bojowy wojsk Insurekcji roku 1794, zapoczątkowany w Krakowie, a zakończony tragicznie pod Maciejowicami.

„Gazeta Kielecka”, pismo wychodzące 3 razy w tygodniu, obszernie informowała na temat ówczesnych obchodów kościuszkowskich. Do najciekawszych spośród zamieszczonych tu materiałów należą niewątpliwie opisy niezwykłych zajść na Placu Panny Marii, przed katedrą, związanych z odsłonięciem tablicy pamiątkowej wmurowanej w ścianę dzwonnicy. Bezpośrednio przed tym „Gazeta Kielecka” donosiła:

**G**romada krasnoludków obsiadła leżącego w trawie, śmiertelnie ranionego jelenia. Czerwononiebiesko zaroiła się na nim, jak lepki wianuszek much na świeżej padlinie. — *Uzdrowić go! Uzdrowić!* — krzychały srebrzystobrodzi malce.

Jeden wziął trawkę i chcąc sprawdzić, czy jeleni jeszcze żyje, delikatnie wsunął ją w zasłanione nozdrza zwierzęcia. Jeleni parsknął i odrzucił w tył zakrwawioną głowę.

Krasnoludki odskoczyli w bok. Po chwili inny wziął patyk i chcąc sprawdzić, czy jeleni jeszcze widzi, wetknął go w powlekające się ślepią błoną oko. Jeleni wierzgnął nogami, całym jego ciałem zaczęły wstrząsać kurczowe drgawki. Malcy przerażili się.

Ale jeden krasnoludek, odważniejszy pewnie od innych, przyczółkał się, w poszepianej krwi zwierzęcia odnalazł ranę i chcąc ją zbadać wsunął w nią swój tłusty palec. Wsuwał go długo, uważnie i badawczo aż dosięgnął serca. To wystarczyło. Pod tym dotknięciem przestało bić serce jelenia.

— *Jeleni umarł!* — chórem zaplakały krasnoludki — *To potworne! Zamordowali go niegodziwi ludzie. To potworne! Ci ludzie nie znają litości.*

# Ludzie! Ludzie!!!

## JERZY DOSTATNI

**S**TARSZA, otulona w czarny, a właściwie wyszarzały płaszcz, usiadła ostrożnie na brzegu krzesła. Spod chusty wyzierała blada, pokrajana licznymi zmarszczkami twarz kobiety zmęczonej dziesiątkami lat życia. Przez cały czas nie powiedział ani słowa. Tylko od czasu do czasu, jakby przypadkowo, wyblakłe oczy usiłowały odnaleźć coś za szybami okna. Nie odpowiedziała na żadne pytanie. I nie wiem do dzisiaj, czy to „coś” było poszukiwaniem zagubionej bezpowrotnie młodości, nawrotem myśli do dawnego zadowolenia z życia, czy też rozpaczliwym, a raczej pozbawionym nadziei szukaniem spokoju. Spokoju, spokoju — który u schyłku życia wydał się jej najcenniejszym skarbem, który warto wygrzebać nawet połamanymi od reumatyzmu palcami...

Młodsza — jak się później okazało córka starszej — od progu już zaczęła sypać grzecznościami i pochwałami.

— Pan jest dziennikarzem, pan dużo może. Niech pan napisze, koniecznie niech pan napisze. Zrobi pan wielką przysługę matce i mnie. Będę panu bardzo wdzięczna. Bardzo!

Tu nastąpił „nieokreślony” ruch ręką. Zresztą w myśl określiłem go raczej jednoznacznie. Może zresztą jeszcze i teraz popelniam niesprawiedliwość — jeżeli patrzeć na sprawę formalnie. Ale chyba wiele lat pracy dziennikarskiej wyostrzyło nieco uwagę nie tylko na słowa, ale i — a może przede wszystkim — na podtekst?

Płaszcz i wyzieraająca spod niego sukienka młodszej też nie grzeszyły luksusem. Ale czyżby przez zapomnienie na palcach zostały dwa bogate pierścionki? Czyżby z braku innych trzeba było włożyć na nogi pajęczynowe nylony i zgrabne, zagraniczne buciki? Albo ta mohairowa czapeczka, klócąca się do upadłego z wyleciałym, przyciasnym płaszczem? To wszystko notuję w pamięci, w notatniku zaś pojawiają się skróty nerwowych, oskarżających zdań.

— To moja matka, proszę pana. Chcieli z niej zrobić wariatkę.

— Kto chciał?

— On, syn, mój brat. Najstarszy. Nie chce nic dawać matce i ja jedna muszę ją utrzymywać. Skombinowali nawet karetkę pogotowia i odwieźli matkę do Abramowic. Ale tam się lekarze poznali. Nie przyjęli, bo przecież nie jest chora. O, proszę — tu jest zaświadczenie. I znowu wróciła do mnie. A u mnie bieda, panie redaktorze. Mąż chory na gruźlicę, dzieci mają krzywicę, mamy na pięć osób tylko pokój z kuchnią.

Przez cały czas oczy biegają niespokojnie z mojej twarzy na notes i na siedząca obok: jakby zamaria matkę. Nerwowe palce ciągle coś ścisiska, tamszą. Chyba mówią więcej, niż słowa...

— Pan wie — przechyla się bezceremonialnie do mojego ucha — ja tylko tak mówię przy matce, ale ona naprawdę jest chora. Ten doktor nie poznał się. Jak nie mają miejsca, to trudno. Ale niech on weźmie matkę,

do siebie. Ma willę, dobre stanowisko...

— Kto — lekarz?

Aż ją zatkalo z oburzenia.

— Co też pan mówię — usłyszałem tuż nad głową. — Jej syn. O nim mówię. Myśli, że się wykrepi marnymi dwustu złotymi. Niech odda matce jeden pokój. Ale nie chce.

Usiadła, nieco odsapnęła i ciągnęła dalej:

— Nas tu w Lublinie jest troje dzieci, wszyscy w ciężkich warunkach. Ale on, inżynier, pływa jak pączek w maśle. Ja mu chętnie zapłacę te same dwieście złotych, ale niech ja weźmie do siebie. I tak podstępem wsadził ją do mnie.

**N**ASTĘPNEGO dnia w Wydziale Sprawy Lokalowych stwierdzam, że mieszkanie ma dwa pokoje i kuchnię. I że było odwrotnie — mieszkanie było matki. Gdy córka z mężem chciała się sprowadzić do Lublina, matka natychmiast przyjęła ich do siebie. No ale cóż, działo się to przed 14 laty, można zapomnieć.

**Z**A kilka dni miałem przed sobą mężczyznę w sile wieku. Energetyczny, zdecydowany, pewny siebie i swoich racji.

— Żyłem z siostrą zawsze w zgodzie. Popsuło się, gdy zamieszkała razem z matką. Ciągłe domagają się pieniędzy. A ja nie na to harowałem wiele lat, aby dzisiaj tylko dawać i dawać. Panu też by się zdziwiło, redaktorze. Zaproponowałem ustalenie stałej sumy — dwieście złotych miesięcznie. Jest nas przecież pięcioro dzieci. To razem tysiąc. I mieszkanie darmo u siostry. Powinno wystarczyć. Ale im — przepraszam: matce i siostrze — przewraca się w głowie. Zresztą tu na miejscu jest brat. Ma dom, sklep, na dniach (!) dostanie trzy-pokojowe mieszkanie w spółdzielni. Niech weźmie matkę. U mnie w Gdańsku wilgotne powietrze. Nie dla starr-szych.

— Pan ma przecież czteropokojową willę.

— Jaka tam willa, a pokoje to klitki.

— Pan żonaty? Podobno żona o 10 lat młodsza od pana?

— Nieco więcej. Ale co to ma do rzeczy?

— Chyba ma. Młoda żona pana inżyniera nie chce mieć dzieci. Chce natomiast mieć dużo pieniędzy. Zapewne szczyli się przedsiębiorczym, eleganckim, wykształconym mężem. Ale sterana wiekiem teściowa, nawet pewnie nie bardzo umiejająca się podpisać? Co powiedza przyjacielki przy kawie z kremem? Służąca nie jest łatwo dostać. Ale przynajmniej w każdej chwili można ją wylać na zbitą twarz...

**D**WIE godziny później w przedpokoju czeka już mały, mocno białejczy języczek. Jeszcze się sobie nie przedstawiliśmy, a już zaprasza do rozmowy, ale nie tutaj w redakcji.

— Pan redaktor rozumie, tyle ludzi...

— Nie poprawiam i rozumiem. W kawiarni znam kelnerkę i dlatego na stole zjawia się, wbrew zamówieniu, kawa i najlepsze wino zagraniczne. Potem były kłopoty ze zwrotem niekniekiej butelki. Małe oczka mego rozmówcy nieco się rozszerzyły, głos nabral zabarwienia patetyczno-konfidenckiego, tylko od czasu do czasu dawała znać o sobie uraza.

Mniejsza o dokładny przebieg rozmowy. Dowiedziałem się, że sprawy

wyglądają zupełnie inaczej. Drugi brat druga siostra mają jeszcze lepsze warunki — finansowe i mieszkaniowe. On sam tylko cudem utrzymuje się, lawirując — raz na powierzchni, raz pod — pomiędzy Wydziałem Finansowym PMRN, a Inspektoratem Kontrolno-Rewizyjnym. Do sklepu już dawno właściwie dopłaca. Na posadę? Chętnie by poszedł, ale gdzie przyjmą kogoś z prywatnej inicjatywy? Zresztą jest honorowy i musi spłacić zaległe podatki, bo potem z pensji mowy nie ma. O tym domku na Węglinie to plotka. Żona odziedziczyła działkę, on zaczął budować, ale pół roku temu przestał.

— Bo to, widzi pan, przydziałów materiału takim jak ja nie dają (dają — notuję sobie w myśli), a potem kontrolują, skąd je mam. A przecież jasne, że ich nie stworzyłem. I nie ukradłem. Zapłaciłem ciężka...

Rozmowa robi się istotnie ciężka. Kelnerka bez pudła w odpowiedniej chwili prosi do telefonu.

**I**DOPRAWDY tylko przypadek zrzadził, iż znalazłem się w Sądzie Wojewódzkim. Teczka, zawierająca akta rodzinnego sporu, jest bardzo pękata. Spory? Czy te obelgi wypowiedziane nawet w poczekalni sądowej można zakwalifikować jako spory? Z cierpliwych papierów do notosu spływają fakty, uzupełniające ponury obraz, jaki wyłonił się po trzech rozmowach. Rozmowa z dalszymi członkami „rodziny” wydała mi się już niepotrzebna.

Gdzieś po pierwszej wojnie światowej rodzice mieli kawałek pola w pobliskiej miejscowości. Ziemi nie przybywało, mnożyła się natomiast rodzina — niemal co rok prorok, w jednym nawet dwa łącznie. Ojciec wstawał przed świtem i po obrządzeniu własnego gospodarstwa, leciał do miejscowej fabryczki. Niezbyt dużo płacił, ale zawsze coś, a przede wszystkim gotówką. Chociaż ani ojciec, ani matka nie umieli pisać, a z czytaniem elementarza też były kłopoty — dzieci otrzymały warunki, umożliwiające

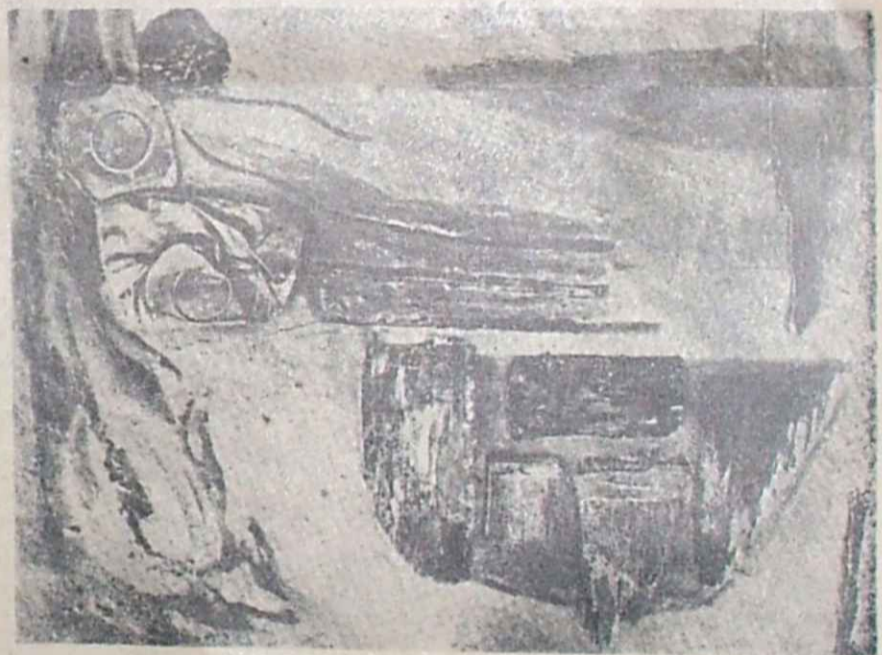
ukończenie szkoły powazecznej. Bez musiała się napracować matka, ile nocy bezsennych spędziła, ile ubrań i bielizny wyporządziła, ile może nieraz łez i potu wylać, aby zaspokoić potrzeby pięciogłowej gromadki.

W czasie okupacji umarł ojciec. Starsi synowie nieco handlowali i jakoś się żyło. Dzięki pomocy państwa dwaj synowie i jedna córka ukończyli szkoły średnie, a potem synowie wyższe uczelnie. Stypendia, stypendiami, bursy bursami — ale opieka matki, chociaż czasem niewidoczna, a najczęściej nieprzeliczalna na pieniądze, była przecież olbrzymia. Zresztą dala i pieniądze. Gdy najstarszy kończył politechnikę, sprzedała schedę. Dala odstępnie za mieszkanie w Lublinie, a resztę rozdzieliła pomiędzy najstarszych. Niech się urządzą, niech zaczęły własne życie. Zarobią i pomogą matce Odchowca wnuki, a może i prawnuki...

Cóż zostało, matko, z twoich marzeń? Od trzech lat chodzisz po sądach. Zagubiona w paragrafach i artykułach różnych kodeksów, niepojętych dla ciebie sformułowaniach prawników i kolejno obrażana zeznaniami czy oświadczeniami swoich dzieci — nie miałaś siły zaprzeczyć własnej córce, gdy usiłowała skłonić dziennikarza, aby w przeddzień kolejnej rozprawy w sądzie torował drogę sprawiedliwości. Oczywiście sprawiedliwości w takim sensie, w jakim rozumie ją twoja córka.

Ale chyba się mylę, matko. Miałas siłę, aby wychować swoją piątkę, więc miałabyś siłę i teraz. Tak — nie chciałaś. Bo jakże to — przeciw własnej córce? Kazala ci przyjąć, to po wielkiej awanturze przyszłaś, aby być świadkiem jeszcze jednego aktu swojej tragedii. I młodzią byłaś. Troje twoich dzieci kolejno prosiło mnie o pomoc. Cóż może dziennikarz poza napisaniem? Pomagam więc jak umiem — tylko nie im, nie tobie. A jeżeli nie tobie, to takim matkom jak ty. Całuję twoje spracowane dłonie i wolałbym głośno, najgłośniej jak umiem: Ludzie! Ludzie!!!

Z WYSTAWY KRZYSZTOFA HENISZA W LUBLINIE



Puszka — (collage)

## WIADOMOŚCI Z PIERWSZEJ RĘKI

(Dokończenie ze str. 2)

W każdej prawie wypowiedzi przedstawiane są trudności napotymane w pracy i formułowane postulaty. Trudności te można sprowadzić do trzech rodzajów. 1. Trudności wynikające z braku materialnego i technicznego wyposażenia. Brak stołków, krzeseł, telewizorów, gier itp. 2. Trudności natury kadrowej. Czasami naukowcy samotnie prowadzi ognisko, bez pomocy kolegów z grona nauczycielskiego. Często mimo starań nikt ogniska nie odwiedza z zewnątrz (wykładowcy, instruktorzy). Trzeci rodzaj trudności wynikający z dwóch poprzednich: kierownicy nie są w stanie organizować zajęć atrakcyjnych przez cały sezon, czego domaga się środowisko.

Ogniska według pierwotnych założeń miały być wyposażone w potrzebny sprzęt i urządzenia. Jaka jest rzeczywistość, pisze o tym między innymi kierownik z Brzeźnicy Bychawskiej: „Największą trudnością w prowadzeniu pracy był brak odpowiedniego umeblowania w sali świątyniczej, którą była izba szkolna, której sprzęt szkolny, lawki uczniowskie nie pozwoliły na dobre zorganizowanie pracy. Również hamowało pracę i to, że ośrodek nie posiadał kompletnego wyposażenia. Zawsze czegoś brakowało. Dali adapter, a nie zapatrzyli w odpowiedni e płyty. Dano telewizor, który działał zaledwie parę dni. Brak było stabilizatora. Otrzymałem stoliki uczniowskie, a nie dano ani krzesel, ani taboretów. Był rzutnik — brakowało taśmy filmowej itd”. A nauczycielka z Kamionki pisze: „Jedną z zupełnie obiektywnych trudności jest brak sprzętu (krzesel), biorący udział w pracy ośrodka „eksperymentalnie” siedzą na stołach, wieszaku lub progu”. W Szczekarkowie oddano do użytku szkołę — pomnik Tysiąclecia. Zajęcia odbywają się w hallu. ...Ogra-

# CERAMIKA NIE TYLKO „SIWAKI”

ZYGMUNT CIESIELSKI

**G**ARNCARSTWO ludowe Białostoczczyzny należy do lepiej zachowanych rzemiosł artystycznych w tym województwie. Takie wyroby jak „siwaki” są szeroko znane w Polsce i poza jej granicami, głównie w Belgii, Anglii, USA i Szwecji. Ale powszechna znajomość białostockiego garncarstwa zaczyna się i kończy na owych „siwakach”, mimo że mniej niż 1/3 garncarzy trudni się ich wyrobem. Przyczyna takiego stanu rzeczy jest prosta: po prostu garnki polewane lub „zgrzebne” — biskwity nie są towarem atrakcyjnym i nie ma na nie nabywców w sklepach CPLiA. Trudno więc dziwić się, że instytucja handlowa, jaką bez wątpienia jest CPLiA, nie propaguje takiego towaru, a co za tym idzie, że owe 1/3 garncarskiej twórczości pozostają nieznaną szerszemu ogółowi.

Powstrzymując się od takich okrzyków jak „szkoda”, postaram się krótko scharakteryzować tę nieznaną twórczość. Aż 11 ośrodków garncarskich produkuje ceramikę polewaną, bądź niepolewaną (gwoździ, etnograficznej ścisłości nazwę ją glazurowaną i biskwitową). Są to przeważnie doniczki, dziełki, ładyski, dzbanki i makotry, na ogół niezdobione lub zdobione niezwykle ubogo. Wszystkie formy cechują dobre proporcje, przy czym punkt ciężkości przesunięty jest nieco w górę i wypada mniej więcej na 2/3 wysokości naczynia. Tyle opisu.

Te użytkowe formy znajdują nabywców wśród ludności wiejskiej, lecz jak zgodnym chórem twierdzą garncarze, coraz mniej liczących. Jest to powodem stałego zanikania garncarstwa: zmniejsza się liczba pracowni, garncarze przestawiają się na produkcję kafli itp. Bardzo charakterystycznym zjawiskiem, o którym pisze także Teresa Łęcka w „Kamienie” mówiąc o Kielecczyźnie — jest brak młodego narybku garncarskiego. Wszyscy garncarze białostoccy są ludźmi co najmniej w sile wieku.

Niechęć do uprawiania zawodu garncarza, jest spowodowana u nas, podobnie jak w Kieleckiem, niewielkim zarobkiem. Średnio wynosi on około 900—1000 zł miesięcznie, z tym że większość garncarzy zimą w ogóle nie pracuje, nie by oszczędzić w ten sposób na opale, lecz głównie z powodu zbyt małego zapotrzebowania na ich wyroby. Zapotrzebowanie to dobrze charakteryzuje wypowiedź garncarza z Supraśla (pow. białostocki), Bronisława Szeremietiewa: „Dawniej garncarz jeden miesiąc robił, a potem przez miesiąc sprzedawał. Byli i tacy, co tylko robili i wszystko od razu z pieca hurtem sprzedawali. Dzisiaj przez miesiąc robią, a dwa i trzy miesiące sprzedają. Czasem i z tego zostanie”.

Tak ma się jednak sprawa tylko gdy chodzi o garncarzy produkujących naczynia glazurowane i biskwitowe. Zupełnie inaczej wygląda ono u producentów siwaków. Zapotrzebowanie na ich wyroby jest tak duże, że właściwie obecnie pracujący dla CPLiA garncarze nie mogą nastąpić z produkcją. Obecnie wyrabia siwaki dla CPLiA czterech garncarzy, dla wapiąca ostatek garncar-

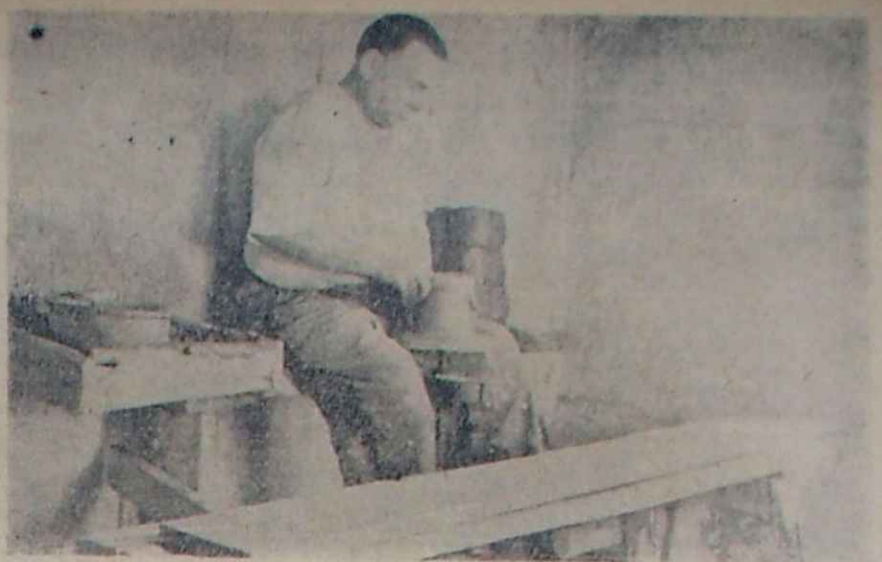
z uzdolnionym garncarzem z Łuki, ale to jeszcze nie zaspokaja w pełni rynku zbytu, a jak wspominałem wyżej, rynek jest dość rozległy. Zarobek tych garncarzy jest chyba dość zadowalający, bo wynosi ok. 30 tys. zł rocznie (2500 zł miesięcznie), a nawet więcej.

Zainteresowanie wyrabianiem siwaków wzrasta i należy się spodziewać, że niedługo i inni garncarze podejmą produkcję takich naczyń.

Sprzyjają temu również nagrody i stypendia Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Wydziału Kultury PWRN w Białymstoku.

Jednak mimo tego renesansu niektórych ośrodków garncarskich nasuwa mi się pytanie czy jest to renesans mający szansę na długotrwałość czy też jest on spowodowany chwilową modą na ludowość. Oczywiście nie chcę tu absolutnie podawać w wątpliwość wartości plastycznych siwej ceramiki, obawiam się jedynie, by po chwilowym (może kilkuletnim) zainteresowaniu się tego rodzaju ceramiką nie nastąpił jakiś krach, który, jak sądzę z artykułu Teresy Łęckiej, już następuje w Kieleckiem.

Być może moje wątpliwości są nieco przedwczesne, wszystko bowiem wskazuje na rozwój garncarstwa siwego. Powstało właśnie w Białymstoku Spółdzielcze Zrzeszenie Chałupników Ludowych (może nie ściśle podają



Konstanty Wyganowski z Sejny w swojej pracowni

jego nazwę, ale nie o to chyba chodzi), które ma stworzyć jak najlepsze warunki do rozwoju sztuki ludowej na Białostoczczyźnie, a między innymi i garncarstwa. Należy się tego spodziewać, tylko pamiętając

o sytuacji garncarstwa w Kieleckiem poruszonej w artykule Łęckiej, zastanawiam się, czy naprawdę organizacyjne ramy, jakie daje „Zrzeszenie...” uratują na trwałe artystyczne rzemiosło garncarskie?

**Z**AWARTOŚĆ „Pamiętnika” Tadeusza Makowskiego może być dla pewnej części czytelników niespodzianką, a nawet zaskoczeniem.

Makowski nie pisze bowiem swego życiorysu ani dzieł swego milieju artystycznego.

Oczywiście podaje wiele faktów ze swego życia w tym okresie, pisze o swoich znajomych, przyjaciółach — malarzach. Nie to jednak stanowi rdzeń książki. Największą jej wartość są myśli autora o sztuce w ogóle, o posłannictwie artysty, o malarstwie, o jego historii i o technice malarstwa.

Myśli zresztą często adresowane. Makowski w wielu miejscach zwraca się wprost do czytelnika; niewiadomo tylko, czy forma ta ma związek z zamierzoną publikacją notatek, czy z ewentualnym pozostawieniem ich komuś z rodziny czy przyjaciół.

Nie jest to bynajmniej pamiętnik członka cyganerii ani sytego chwaly, uznanego i wiezionego twórcy. Nie można też rzeczy porównać ani z Celliniego „Żywotem własnym”, ani z żadnym z nielicznych wspomnień polskich artystów (np. krańcowo różny pamiętnik W. Kossaka, którego treścią są spotkania z koronowanymi głowami), a tym bardziej z „Moimi współczesnymi” Przybyszewskiego (to porównanie nasuwać by się mogło przez pewną analogię pozycji Makowskiego w artystycznym świecie Paryża do stanowiska młodego Przybyszewskiego w literackim Berlinie). Podstawowymi cechami Makowskiego-pamiętnikarza są: skromność i uznanie dla cudzej pracy, dla cudzych poglądów, choćby były sprzeczne z jego własnymi.

Wiele miejsca przeznacza autor na rozważania o swojej pracy. Nie są to zresztą zachwyty nad sobą, raczej przeciwnie. Makowski o sobie wyraża się przeważnie krytycznie, z obawą czy to, co tworzy, ma wartość.

Powtarzającym się często tematem wspomnień są stałe wizyty autora w Luwrze. Odwiedziny muzeum były dla niego częścią pracy. Długie godziny spędzał na kontemplacji dzieł ulubionych swoich mistrzów, do których należeli przede wszystkim: Bruegel, Rembrandt, El Greco, Poussin i Cézanne. Dziwne może wydaje się ukończenie starych mistrzów przez malarza tak nowoczesnego. Dla Makowskiego było to jednak czymś naturalnym. Uważał dzieła malarstwa za ciąg nieprzerwany. Znaczną też pomocą w znalezieniu własnej drogi twórczej były dla niego rozważania nad historią malarstwa, poparte wizytami w Luwrze i w innych muzeach, do których kierował pierwsze kroki w każdym mie-

## Rękopis znaleziony w Paryżu\*

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

cie, gdzie wypadło mu choćby czas krótki przebywać.

Makowski był malarzem — poetą. Świadectwem tego jest jego twórczość malarska, ale i w Pamiętniku poetyckie widzenia świata daje się odczuć bardzo silnie. Z tego też powodu książkę można rozważać w dwu aspektach, jako wspomnienia malarza i jako filozoficzno-refleksyjne wyznania poety.

Próbka poetyckiej oryginalności opisów Makowskiego mogą być choćby takie zdania: „Przyjaciele są karczmą w pustkowiu, w której się ma iluzję odpoczynku. Cmy są małymi ludźmi, mam dla nich wiele współczucia”, „Drzewa się rwą ku ziemi”!

**M**AKOWSKIEGO myśli o sztuce zebrane razem byłyby dziełem zasługującym na uwagę. Z luźnych spostrzeżeń dalały się zioły całokształt jego malarskiego credo.

Sztukę widział Makowski tylko w ścisłym związku z życiem i stawiał przed nią i przed jej twórcami wymagania bardzo wysokie. Pisał: „Sztuka wymaga głębokiej mądrości i wielkiej duszy. Prózne są zabiegi tych, którym się zdaje, że te wartości zastąpić można czymkolwiek innym”. Ukończenie sztuki nie zaciemniało mu faktu prymatu nad nią życia, wyraził to dobitnie: „...niczym jest życie piam w obrazie, w porównaniu z życiem każdego przedmiotu w przyrodzie”, a w innym miejscu: „Zapominam o sztuce, gdy widzę życie. Czuję się słaby, gdy chcę je odtworzyć”.

Naczelnymi w jego pojęciu cechami artysty winny być: pracowitość, oryginalność i zrywanie z szablonem, przy jednoczesnym szacunku dla tradycji. Twierdził, że „...doświadczenie zdobywa się przekreśleniem rzeczy nieudanych”. „...poszukiwanie i dociekanie jest istotną stroną twórczości”. Styl nazywał śmiercią sztuki,

teorie — pretekstem do odczytywania wielkich dzieł, zaś dowodem żywotności artysty było dla niego gwałcenie praw, gdyż jak pisał: „Dziwaczności boją się tylko słabi, ci zwłaszcza bronią się zapamiętałe przeciw wszystkiemu, co odważne i nowe”.

Siłę malarstwa widział Makowski w ścisłym związku z tradycją, którą uważał za szczególnie żywotną w malarstwie francuskim. Stąd zapewne wynikał pogląd autora na malarstwo polskie, o którym pisał: „Brak im (malarzom polskim B. K.) przeważnie ogólnych pierwiastków malarskich. My przemawiamy do siebie — zamiast do wszystkich”. „Naród, który się dorwał do malarstwa nie mając wzorów i tradycji plastycznej, zaczyna zwykle od rodzajowych obrazków, tematów pełnych anegdoty, historycznych ilustracji i literackich pomysłów. (...) Formą i kolorystyką odrębnym można zadziwić, anegdotą i tematem jedynie zainteresować literatów”.

Literatów uważał zresztą Makowski za najgorszych krytyków sztuki. Nota bene krytykę w ogóle cenil dosyć nisko, pisząc m. in.: „Nie ma złych krytyków sztuki ani dobrych, są tylko szkodliwi”!

Powyższy cytat o szkodliwości krytyki wyraża mi właśnie broń z ręki, gdyż autor książki i o krytykach literackich myślał zapewne podobnie. Wypada mi wobec tego w zakończeniu uwag nad Pamiętnikiem Tadeusza Makowskiego przejść na pozycje bezinteresownego czytelnika, dla którego lektura tej książki stać się może źródłem przemyślenia wielu spraw, zrewidowania poglądów na sztukę oraz bodźcem do pogłębienia swego stosunku do sztuki i wiedzy o niej.

\* Tadeusz Makowski: Pamiętnik. Opracowała Władysława Jaworska. Państw. Inst. Wydawn. 1961.

Tadeusz Makowski — Dzieci przed klatką z kanarkiem



lapidarnie formuluje swoje zmartwienia: „Łatwo jest dostarczać publiczności rozrywkę, lecz taką, jakiej chce trudno. Każdy wieczór musi być rewelacją lub z humorem, na to szkoda ma za mało czasu. Instytucje i organizacje społeczne poza Kołem Gospodyń Wiejskich — śpią. Dobrze udają się pogadanki z filmami, wieczory humoru, wieczorki taneczne”. W niektórych ośrodkach potrzebne są zajęcia zaznajamiające z techniką (tą codzienną). Skądinąd wiadomo, że nie łatwo jest o fachowców do tych zajęć. Oto w Samokłeskach rozpadło się kolo fotograficzne, ponieważ zabrakło wykładowcy.

Wypowiedzi prowadzących ogniska eksperymentalne, aczkolwiek często zabarwione subiektywnym stosunkiem i emocjami, mają charakter dość ogólny i jak się wydaje, trafnie wskazują na zasadnicze problemy ognisk w ich obecnym stadium rozwoju (czy eksperymentowania?). Stąd też są istotnym źródłem informacji o aktualnym stanie eksperymentu lubartowskiego.

Aleksy Bornus

\* Nr 23, z 15.XII.1961 r.

niczali się do gier świetlicowych, słuchania radia. Inne zajęcia są utrudnione, ponieważ jest mało pomieszczenia na świetlice, brak szatni. W zimie przeważnie ludność ma czas na przyjęcie do świetlicy, ale siedzenie w ubraniu jest niewygodne i wcale nie wdraża do kulturalnego bycia. Poza tym za mało jest gier świetlicowych”.

Na brak wykładowców narzekają przede wszystkim kierownicy ognisk odległych od miasta, np. Janów, Giżyce (gdzie nie doszła do skutku szkoła zdrowia z powodu braku wykładowcy).

Kierownicy mają też kłopoty z wynajdywaniem nowych atrakcyjnych form pracy. Kierownik z Łuki tak

## ZBRODZIA GÓRY

„Spójrzcie uważnie, gdyż głębia ta istnieje jeszcze: ani znaku życia. Popatrzycie dokładnie, długo, z uwagą: wszystko tam zneruchomiale. Spójrzcie: wysokie ściany z północy i takie same z południa, nie ma tam nigdzie miejsca dla życia. Na odwrót, wszystkie pokryte tym, co jest mu przeciwnie.

Znajduje się tam coś, co leży wszędzie między życiem a nami. Jakby kupa piasku, którego połowa wierzchołka wprawiona jest swym nikłym koniuszkiem w ścianę północną; a stamtąd wszędzie rozrzucona jak kostki z kubka, prawdziwe kostki od gry, i to kostki różnych wielkości, jeden blok prostokątny, drugi również prostokątny, całe piętra brył, potem warstwy brył małych i dużych zasłaniają tę nieskończoną głębie.

Dawnymi czasy jednak wspinano się tam dużo ludzi; zapewniają nawet, że liczba ich w pewnych latach sięgała do pięćdziesięciu osób”.

Tak opisuje E. F. Ramuz w „Pastwisku na Derborence” (przekład St. Flukowskiego) spustoszenie, jakiego dokonało obsunięcie się góry w Alpach na małą wioseczkę szwajcarską. Dlaczego o tym pisze, z czym to kojarzę?

12 stycznia cały świat obiegła straszliwa wiadomość o żywiołowej katastrofie w Peru. Z przerażeniem usłyszałem przez radio, że potworna lawina złożona z bloków skalnych, głazów, kamieni i lodu zwałiła się z jakiegoś szczytu andyjskiego i pogrzebała aż cztery miejscowości, w których zginęło 4000 osób. Nie dosyłem wtedy nazwy tego szczytu.

Lawiny. Znamy ich niszczytelność moc nawet w stosunkowo niezbyt wysokich Tatrach. Każdego roku padają w naszych górach ofiary tej potężnej siły, wśród których najgroźniejsza i każdemu znana jest postać Karłowicza. Ale to tylko lawiny śnieżne. Ginęły jednostki. Często z własnej winy, z lekkomyślności. I to w górach. Ale w dół? Wyjątkowo w marcu 1956 r. lawina zmiotła na Hali Goryczkowej schronisko wraz z pięciu znajdującymi się tam ludźmi.

A tu lawina skal i lodów. Katastrofa, wobec której to, co opisał Ramuz, wydaje się tylko zabawą. Pomyśleć: nagły, nieoczekiwany wstrząs, piekielny huk i oto masowy grób tysięcy osób.

Ale w dwa dni potem dzienniki podały bliższe szczegóły katastrofizm. Okazało się, że liczba ofiar była daleko większa — blisko 7 tysięcy! Za peruwiański minister zdrowia określił katastrofę, jako wprost „apokaliptyczną”. I dowiedziałem się, jak brzmiał nazwa fatalnego szczytu: Huascarán.

Wtedy nagłe oświecenie: Huascarán, dolina Huyalas, „Szwajcaria Peruwiańska”, Rio Santa, odcieci od świata miasto Yungay — przecięci znam te miejsca z lektury. Przecież tam działała w r. 1951 francuska ekspedycja alpinistyczna, w której między innymi brało udział małżeństwo Kogana. I czytałem opis tej wyprawy w książce Georges'a Kogana i Nicole'a Leiningera „Białe Kordyliery”. Koganowie już nie żyją; mała uroczą Claude zginęła przed trzema laty w Himalajach kierując pierwszą wielką wyprawą złożoną wyłącznie z kobiet; nie żyje mąż jej, który zmarł przed nią, nie górską zresztą śmiercią; nie żyje wreszcie niezapomniany Wawrzyniec Żulawski, który znalazł osobiste wszystkie uczestników tej ekspedycji i miał napisać wstęp do polskiego przekładu „Białych Kordyliery”.

Wróciłem do tej książki, aby sobie uprzytomnić topografię miejsca katastrofy i wyobrazić scenę katastrofizm.

Nevado Huascarán, najwyższy szczyt Peru, to olbrzym liczący 6768 metrów. Zdobyty w r. 1932 przez alpinistów austriackich. (Francuzi zamierzali wejść na niego również, ale warunki atmosferyczne stanęły na przeszkodzie, osiągnęli za to w tej okolicy jako pierwsi inny sześciotysięcznik, który nazwali Nevado Pisco. A później przenieśli swą działalność na północny wschód, gdzie zdobyli „najpiękniejszy szczyt świata” — Alpanayos). „Nevado Huascarán panuje nad doliną Rio Santa. Ta rzeka wpa-

dająca do Oceanu Spokojnego użyźnia okolice, przez które przepływa, i nadaje dolinie nieco alpejski charakter; stąd nazwa „Szwajcaria Peruwiańska”.

Oto miasto Huarás „liczące 10 000 mieszkańców, odległe o 400 km od Limy — położone na wysokości 3100 m” — stolica prowincji Ancach, w której wydarzyła się katastrofa. Miasta tego nie objął obecny kataklizm, gdyż leży w odległości jakichś 50 km od Huascaranu. Ale w niedalekiej przeszłości, bo w r. 1941, dotknęła je inna klęska, bo niebezpieczna jest ziemia andyjska: „Jezioro lodowcowe wypłynęło ze swych brzegów i rzuciło na miasto tysiące metrów sześciennych wody. Pięć tysięcy ludzi znalazło śmierć, a setki domów zostało zmiecionych z powierzchni ziemi”. Też potworny kataklizm, choć wywołany inną przyczyną.

Od tego miasta ekspedycja posunęła się 5 km ku uzdrowisku (cieplice) Monterey, które stało się jej bazą wypadową. Stamtąd udano się do miejscowości Yungay, o której depesze podały, że „prawie całkowicie odcięta od świata i pozbawiona wody zdanej do picia ocalała jedynie dzięki temu, że otaczające ją wzgórza wstrzymały lawinę”. A o tym Yungay tak pisze Kogan: „To malownicze miasto w stylu kolonialnym tuli pod swymi arkadami rynek, na którym sprzedaje się rozłożone na tkaninach ręcznie dywanach kubki suszonych ziemniaków, czerwony pieprz hiszpański, krajowe prosiaki, pieczone w całości, i czarki chicha”. — Idylla. Ale tuż powyżej groźne memento: „bieleją śniegi Huascaránu, potężnej góry, która panuje nad doliną Santa jak Mont Blanc nad doliną Chamounix. Tylko, że nad brzegami Arwy nie rosną drzewa bananowe”.

Pobliska wieś Mancos, o której również wspomina Kogan, musi chyba należeć do tych czterech miejscowości, które uległy zagładzie, a których nazw prasa nie podała. To tam tłumy mieszkańców, leżących obecnie pod zwalami skał, manifestowały swą radość na wdok Claude Kogana, żywej i całej, gdyż rozszła się pogłoska, jakoby „mała señorita” umarła w górach z zimna.

Tym, którzy nie przyjęli obojętnej wiadomości o monstrualnym wyczerpaniu szczytu Huascarán, którzy kochają piękno i grozę gór, gorąco polecam przeczytanie książki o wyprawie francuskich alpinistów w to miejsce przyszłej zagłady.

X. Rovay



Rzeszowskie kontrasty

## O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Nr 35/36 (podwójny) „Kamena” za styczeń i luty 1937 r. był w całości poświęcony Tatom i zawierał artykuł Hanny Marczewskiej „Asnyk i Kasprzyc jako poeci Tatr”, myśli o alpinizmie J. A. Szczepańskiego, wiersze: „Janosik z Tarchowej”, S. R. Dobrowolskiego, „Przedwiośnie w Tatrach” L. Świeżawskiego, „Tatry” Wł. Pietrzaka, „Gniazdo” T. Bocheńskiego, „Kamienie” St. Bakowskiego, „Tatry” M. R. Radeckiego, „Słowa powrotne” Ig. Igonia, „Sklawę Pleci Stawów” Br. Kr. Wierzejskiego, „Zakopiańskie przedwiośnie” J. K. Weltrauba, prozę „Godziny” M. Szczepańskiego, „Przed burzą” (fragment powieści) J. A. Szczepańskiego, „Z dziennika tatrzańskiego” T. Bocheńskiego, „Strzepy” K. A. Jaworskiego, Przekłady: „Kaukaz” Puszkina (tłum. E. A. Jaworski), „Wśród mgieł” J. Smreka (tłum. A. Brosz), „Na schyłku trzeciorzędu” L. Ondrejova (tłum. K. A. Jaworski), „Na szczytach” J. Smreka (tłum. A. Brosz), „Nad chmury” O. Małkowska i „Góry” M. Kaplja (tłum. T. Bocheński), „Dusza-góra” R. Bałły (tłum. J. Waszewska), „Kosodrzewina” M. Greifa, „Odgłosy górskie słyszę” i „Białe szczyty” C. F. Meyera (tłum. Z. Wańkiewski). W nr-ze prócz tego kronika słowiańska i noty. Barwna wkładka Ilmorytowa Zenona Wasniewskiego: „Z Tatr”.

odpowiedzi redakcji

## NOTY

PRZEGLĄDAJĄC DAWNE NUMERY „KAMENY” znalazłem w zaszycie 1/3 za r. 1946 notę, w której wystąpiłem z inicjatywą wydania zbiorowego pism Czechowicza. Cytuję fragment: „Złożyły się na nie 4 tomy: I — wiersze opublikowane w książkach, nie objęte nimi i juvenalia, II — przekłady z poezji słowiańskich i angielskiej, III — proza poetycka, nowele i utwory dramatyczne, IV — listy i wspomnienia kolegów i przyjaciół. Poszczególne tomy mogłyby się ukazywać w odstępiech dziewięćmiesięcznych, tak, żeby na 10-lecie śmierci poety całość była wydana”. Z pewnymi modyfikacjami pomyśl ten się urzeczywistnił, ale dopiero na 25-lecie zgonu Czechowicza. Szkoda tylko, że i to obejmujący wiersze oryginalne i tłumaczeniowe nie zdążył ukazać się w roku ubiegłym, co może opóźnić termin ukazania się całości.

POEZJA POLSKA W ZACHODNIONIE-MIECKIEJ ANTOLOGII. Nakładem Sigbert Mohr ukazała się 500-stronicowa książka pt. „Panorama moderner Lyrik”, obejmująca przekłady około tysiąca wierszy poetów z 24 krajów, w tym i Polski, która reprezentuje 27 autorów przetłumaczonych głównie przez Helene Lahr. Wiersz Rolica Lieder w klasycznym przekładzie Stefana Georga. Uderza brak Staffa i Lechonia. Nazwisko Galczyńskiego przekreżono na Galszyński. Mylnie podano datę urodzenia Jerzego Jankowskiego — 1937 (t) zamiast 1887. Jest i Hollender, i Gajcy — szkoda, że nie podano okoliczności ich śmierci... Ale niespodzianką jest zamieszczenie dwóch wstrząsających wierszy Stanisława Wygodzkiego z czasów niemieckiej okupacji.

ŚMIERĆ WYBITNEGO RZEZBIARZA. Zmarł w 78 roku życia największy rzeźbiarz jugosłowiański Ivan Mestrovic, jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy światowych, twórca „Pomnika Nieznanego Żołnierza”, „Zdjęcia z krzyża”, „Mati”, „Tancerki” i in.

POETYCKIE POZDROWIENIA — to tytuł książki wydanej niedawno w Ostrawie a zawierającej wybór współczesnej poezji czeskiej i słowackiej w przekładach pol-

skich. Pięknie jak zwykle w Czechosłowacji prezentujący się zbiorek opracował znany poeta zaoziński Henryk Jasiełek, a wstępem poprzedził go Wilhelm Szewczyk. Książka zawiera tłumaczenia z 28 poetów czeskich i 10 — słowackich. Przekładów dokonano 24 autorów polskich.

STRAJK WE WSI DREWNIANEJ, pod tym tytułem ukazał się w Łodzi jako arkusz poetycki miesięcznika regionalnego „Ziemia Łęczycka” poemat Bronisława Chęcińskiego. Sięganie po tematykę rewolucyjną do naszej przeszłości jest ze wszech miar pożądane, ale typowo socrealistyczna epika Chęcińskiego jest spóźniona o dobrych lat dziesięć.

PISARZ I BOJOWNIK O PRAWA MURZY-NÓW, Allan Paton, który otrzymał nagrodę American Freedom Award, po powrocie ze Stanów Zjednoczonych został pozbawiony paszportu, co uniemożliwiło mu wyjazd do Hamburga, gdzie Akademia Sztuki przyznała mu również nagrodę. W urzędowości tej zastępował go syn, który odbywa studia w Anglii.

Z LACINA NA BAKIER. Na wzór łacińskiej sentencji „errare humanum est” anonimowy autor w „Kulisach” (nr 2, str. 8) widocznie sądzi, że „humanum” to rzeczownik, ukuł takie powiedzenie: „errare deum est”. Miało to oznaczać, że błędnie jest zresztą boska...

JEST TAKI TYGODNIK DLA DZIEWCZĄT. Nazywa się „Filipinka”. Doręczono mi tekst piosenki zamieszczonej w jednym z grudniowych numerów tego pisma. Tekst Janusza Słowikowskiego. Do grafomanii piosenki typu „Marianna ruda” czy „Kaktusik Magdusi” już zdążyliśmy się przyzwyczaić. Ale tu chodzi o coś innego, o dydaktyczny sens piosenki przeznaczonej dla dziewcząt, w której refrenie najpierw mowa o pisaniu na płocie nie tylko „klupi”, „upli się jak biał” czy „idiota”, ale i jak to mówi autor eufemicznie „brzydkich wyrazów”, a w zakończeniu dzięki „dziewczęcej buzi o ślicznych rysach” o tym, jak dziewczę „wlat na biodrach wygląda sukienkę”. „Utwór” ten zamieszczono pod nagłówkiem: „Piosenki — oddać trochę miłości”. To „inaczej” jest bardzo obiecujące. A więc uczele się, panienki!

-kaj-

## KRONIKA KULTURALNA

W dniu 13 stycznia odbył się w Białymstoku ogólnopolski przegląd amatorskich zespołów muzycznych taneczno-rozrywkowych, działających pod egidą Związku Młodzieży Wjejskiej. Udział w tej imprezie wzięło dwanaście zespołów z całego kraju. Jury pod przewodnictwem znanego „Jazzologa” Romana Waszko wyróżniło następujące zespoły: Jazz club — Koszalin, zespół z Olawy (woj. wrocławskie), a także zespół stanowiący pewne curiosum przeglądu, mianowicie dziewczęcą orkiestrę z PGR Owińska w województwie poznańskim.

Polski Klub Taneczny dał wreszcie znać o sobie szerokiej publiczności. Zrobił to w sposób bardzo przyjemny, organizując Międzywojewódzki Turniej Tańca Towarzystwa z udziałem par z Opola, z AWF Warszawa, z Politechniki Warszawskiej, no i oczywiście z Białegostoku. W turnieju brało udział 17 par w klasie „C” i „D”. Gwoli historycznej prawdy i lokalnego patriotyzmu nadmieniamy, iż obok doskonałych tanecznicy z Warszawy nieźle wypadli zawodnicy białostocki, zajmując w klasie „D” drugie miejsce.

W grudniowym numerze „Kamena” donosiliśmy o prapremierze sztuki Ireny Szliger „Trudna Młodość”. Dziś z przyjemnością trzeba dodać, że sztuka odniosła zamierzony przez teatr sukces: wywołała mianowicie spore poruszenie wśród teatromanów. W dyskusji odbytej 15 bm. w sali Kameralnej teatru usłyszeliśmy wiele sprzecywnych sądów. Konfrontacja utworu z widzem i praktyka teatralna niewątpliwie pomogła autorce, która ma dalsze plany dramatyczne.

Spotkanie, w czasie którego odbyła się wspomniana dyskusja pomyślane zostało jako przedwstępne do zawiązania Towarzystwa Miłośników Teatru — czegoś w rodzaju „otoczek intelektualnej teatru” (jak wyraził się autor onego projektu, dyr. Je-

P. P.

M. Pęk w Białogaju. Nie skorzystamy. W imieniu czytelników dziękujemy za życzenia noworoczne.

Ben. Gucci w Sandomierzu. „Te pierwsze”, jak je Pan słusznie określił, wydają mi się w obrazowaniu bardzo sztuczne, wymuszone przez to, że silił się Pan na oryginalność. Więcej prostoty. A czasu piętnastoletni autor ma jeszcze dość przed sobą. O tym, że trzeba dużo czytać i pracować, chyba Pan wie dobrze.

J. St. w Wrocławiu. Ograniczamy się tylko do wachodnich województw, wyjątkowo tylko korzystamy z prac autorów z innych regionów. Dlatego nie zamieścimy.

H. P. w Lublinie. Dziękujemy za pozdrowienia z Poznania. Wiersz zatrzymujemy.



rzy Zegalski). Inicjatywie tej można jedynie przyklasnąć. Oby jak najprędzej Teatrzyk Propozycji już się deklaruje z jak najdalej idącą współpracą. Ze statymi kartami wstępu włączamy.

-gal-

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena” • Redaguje Kolegium: Waldemar Babinicz, Maria Bechzyz-Rudnicka (redaktor naczelny), Konrad Bielski, Aniela Cach-Piskorowa (dział rzeszowski), Aleksander Gabrusiewicz (dział białostocki), Kazimierz Andrzej Jaworski, Jerzy Pleśniarowicz, Ryszard Smoński (dział kielecki), Anna Tatariewicz • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Granicz-wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające zamawiając prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu” Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Zam. 193. 17.1.62.

Nakład 2000. D-4-3/14